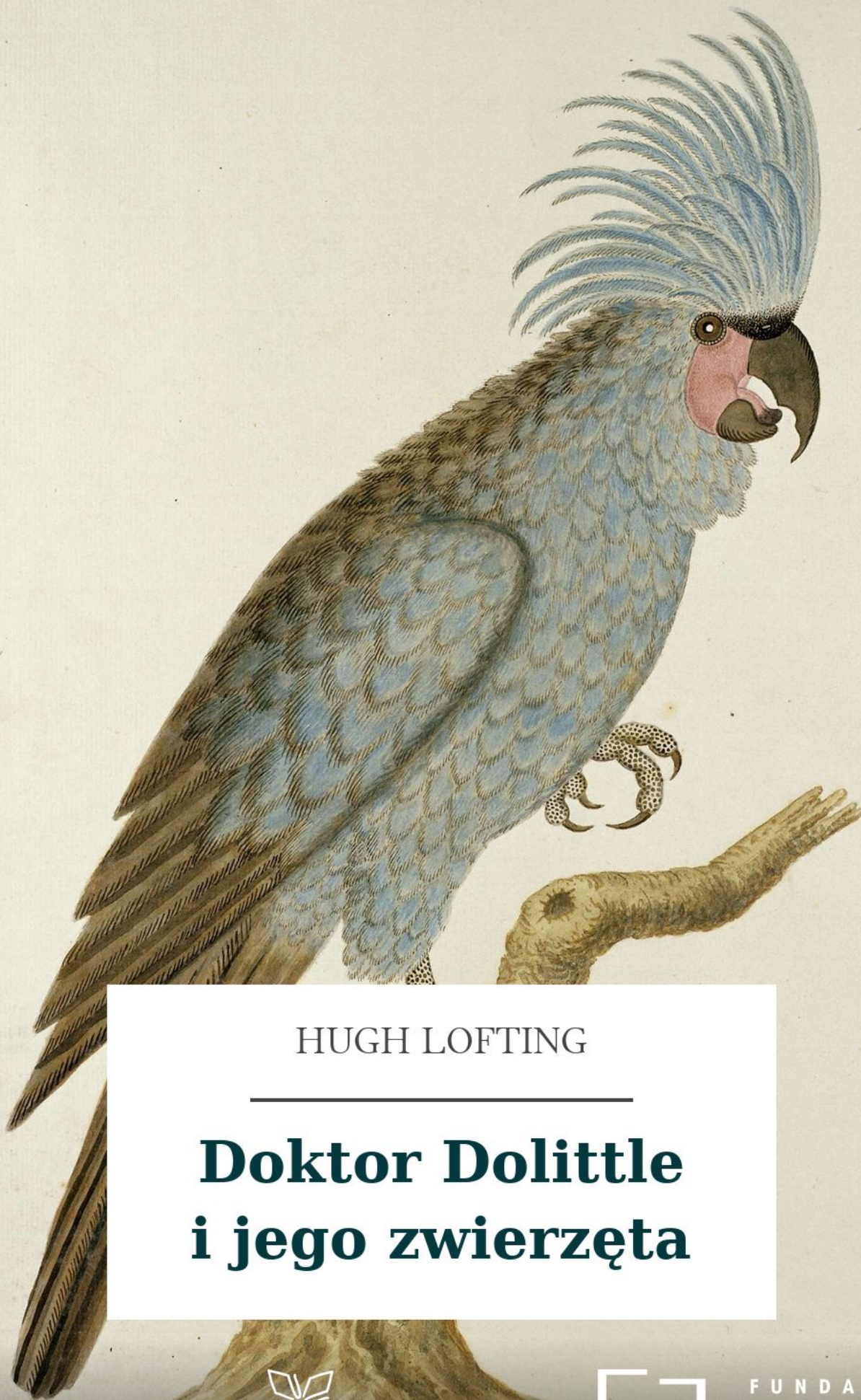


tonacaca de la nouvelle Guinée



HUGH LOFTING

Doktor Dolittle i jego zwierzęta


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Publikacja sfinansowana z darowizn przekazanych na Wolne Lektury w ramach 1% za rok 2020.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

HUGH LOFTING

Doktor Dolittle i jego zwierzęta

TŁUM. JAREK WESTERMARK

ROZDZIAŁ PIERWSZY. PUDDLEBY

Dawno, dawno temu — kiedy nasi dziadkowie byli jeszcze zupełnie mali — żył sobie pewien doktor. Nazywał się Dolittle — a konkretnie dr med. John Dolittle, gdzie „dr med.” oznacza, że był doktorem medycyny z prawdziwego zdarzenia i wiedział całe mnóstwo różnych rzeczy.

Żył w Puddleby, niewielkim miasteczku położonym nad rzeką Marsh. Wszyscy tamtejsi mieszkańcy, młodzi czy starzy, znali go z widzenia. I zawsze, gdy przechadzał się ulicami w swoim cylindrze¹, powtarzali: „Spójrzcie, idzie Doktor! Ten to ma łeb!”. Psy i dzieci podbiegały, żeby chodzić za nim krok w krok i nawet wrony, które mieszkały na wieży kościelnej, krakały z uznaniem na jego widok i grzecznie skłaniały głowy.

Dom Doktora, położony na obrzeżach miasteczka, był raczej niewielki, otaczał go jednak rozległy ogród z trawnikiem, na którym — w cieniu wierzb płaczących — stały kamienne ławy. Domem zajmowała się siostra Doktora, Sara Dolittle, ale ogród pielęgnował zawsze on sam.

Bardzo lubił zwierzęta i miał ich wiele. W stawie, położonym na obrzeżach posesji², hodo-

¹*cylinder* (z gr. *kylindros*: walec) — rodzaj wysokiego, sztywnego kapelusza z główką w kształcie walca i wąskim rondem, popularny wśród zamożniejszych warstw ludności Europy w XIX i na pocz. XX w. [przypis edytorski]

²*posesja* — posiadłość; wydzielony teren stanowiący czyjąś własność, wraz z budynkami na nim stojącymi. [przypis edytorski]

wał złote rybki, w spiżarni³ trzymał króliki, w piwnicy białe myszki, w bieliźniarce⁴ wiewiórkę, a w piwnicy jeża. Miał też krowę z cielaczkiem i starego, kulawego konia, któremu stuknęły już 22 lata. A do tego kury, gołębie, dwa jagniątko i wiele innych zwierząt, ale najbardziej z nich wszystkich lubił kaczkę Dab-Dab, psa Dżipa, prosiaczka Gub-Gub, papugę Polinezję i sowę Tu-Tu.

Siostra Doktora często narzekała, że przez te wszystkie zwierzaki w domu zawsze jest brudno. Co gorsza, zdarzyło się, że pewna starsza pani z reumatyzmem⁵, pacjentka Doktora, podczas wizyty przypadkiem usiadła na jeżu, który spał akurat na kanapie, i więcej już nie przyszła. Od tego czasu co sobotę jeździła do położonego o całe 15 kilometrów dalej miasteczka Oxenthorpe, do zupełnie innego lekarza.

³*spiżarnia* — pomieszczenie w domu służące do przechowywania zapasów żywności. [przypis edytorski]

⁴*bieliźniarka* — szafka na bieliznę pościelową i stołową (pościel, obrusy, serwetki, poszewki itp.). [przypis edytorski]

⁵*reumatyzm* — choroba narządów ruchu powodująca bóle oraz zwyrodnienia i zniekształcenia stawów. [przypis edytorski]

Pewnego dnia siostra Doktora, Sara Dolittle, przyszła do niego i powiedziała:

— Johnie, czy naprawdę uważasz, że chorzy ludzie powinni przychodzić do domu pełnego zwierząt? Żaden szanujący się lekarz nie trzymałby w salonie stada jeży i myszy! Zwierzaki odstraszyły już czworo klientów! Dziedzic Jenkins oraz wielebny pastor⁶ mówią, że ich stopa więcej w tym domu nie postanie, choćby nawet mieli kopnąć w kalendarz⁷! Biedniejemy z dnia na dzień. Jeśli tak dalej pójdzie, nikt ze śmietanki towarzyskiej⁸ nie zechce się u ciebie leczyć!

— Kiedy ja wolę zwierzęta od ludzi ze śmietanki — powiedział Doktor.

— Bzdury! — fuknęła jego siostra i wypadła z pokoju.

Czas mijał. Doktorowi wciąż przybywało zwierząt, a ubywało pacjentów. W końcu przychodził do niego już tylko Sprzedawca Mię-

⁶*pastor* — duchowny w kościołach protestanckich. [przypis edytorski]

⁷*kopnąć w kalendarz* (pot.) — umrzeć. [przypis edytorski]

⁸*śmietanka towarzyska* — najwyższa warstwa społeczna; elita. [przypis edytorski]

sa dla Kotów, któremu zwierzaki w ogóle nie przeszkadzały. Tyle że Sprzedawca zwykle nie miał grosza przy duszy, a chorował tylko raz do roku — na Boże Narodzenie, kiedy płacił Doktorowi sześć pensów⁹ za flaszkę lekarstwa.

Trzeba wam wiedzieć, że nawet w owych czasach (dawno, dawno temu!) sześć pensów nie wystarczyło na życie, więc całe szczęście, że Doktor miał jeszcze co nieco w skarbonce! Ale kolejne zwierzęta, które wciąż przygarniał, trzeba było przecież karmić. Oszczędności topniały w oczach.

W końcu sprzedał swoje pianino, a myszom urządził przeprowadzkę do sekretarzyka, ale pieniądze, które w ten sposób zdobył, również nie starczyły na długo. Ostatecznie musiał pozbyć się nawet brązowego, odświętnego garnituru i tak, krok po kroku, biedniał coraz bardziej.

Teraz, gdy przechadzał się ulicami w swoim cylindrze, ludzie mówili do siebie: „Spójrzcie,

⁹*pens* — drobna moneta w Anglii. [przypis edytorski]

idzie John Dolittle, doktor medycyny! Swego czasu był najślynniejszym lekarzem w tej części kraju, a teraz? Co za widok! Nosi dziurawe skarpety i jest biedny jak mysz kościelna!”

Ale psy, koty i dzieci wciąż przybiegały, żeby chodzić za nim po mieście krok w krok, tak samo, jak kiedy był bogaty.

ROZDZIAŁ DRUGI. JĘZYK ZWIERZĄT

Pewnego razu, gdy Doktor siedział w kuchni i rozmawiał ze Sprzedawcą Mięsa dla Kotów, który przyszedł do niego z bólem brzucha, Sprzedawca zapytał:

— Może zamiast ludzi zacznie pan leczyć zwierzęta?

Papuga Polinezja, która obserwowała przez okno deszcz i nucila pod dziobem szantę¹⁰, umilkła, żeby posłuchać.

— Niech pan pomyśli, Doktorze — ciągnął dalej Sprzedawca. — Przecież wie pan o zwie-

¹⁰*szanta* — tradycyjna piosenka żeglarska, zwykle śpiewana przez załogę łodzi (statku) w rytm wykonywanych prac. [przypis edytorski]

rzętach absolutnie wszystko. A już na pewno o wiele więcej niż tutejsi weterynarze. Pana książka... ta o kotach... jest wspaniała! Ja, co prawda, nie umiem czytać ani pisać... bo inaczej może sam pisałbym książki... ale moja żona Teodozja jest najprawdziwszą uczoną. I przeczytała mi pana dzieło na głos. Jest wybitne. Nie można tego ująć inaczej: wybitne. Nie zdziwiłbym się, gdyby sam okazał się pan być kotem. Doskonale rozumie pan, jak one myślą. Proszę posłuchać: na leczeniu zwierząt można nieźle zarobić. Wiedział pan o tym? Niech pan pomyśli: przysyłałbym do pana wszystkie staruszki z chorymi psami i kotami. A gdyby zwierzaki za długo były zdrowe, dorzucałbym coś niecoś do mięsa, które sprzedaję, żeby raz dwa się pochorowały.

— Oj, nie — wtrącił szybko Doktor. — Co to, to nie. To się nie godzi.

— Nie mówię o poważnych chorobach! — odparł Sprzedawca Mięsa dla Kotów. — Tylko o drobnych przypadłościach, żeby były ciut nie w sosie! Nie miałem na myśli nic więcej. Ale

może ma pan rację, że nie wypada tak trakto-
wać zwierzaków. Zresztą gwarantuję, że i tak
ciągle będą chore, bo staruszki regularnie je
przekarmiają. Do tego dochodzą jeszcze oko-
liczni gospodarze z kulawymi końmi i cher-
lawymi owieczkami pod opieką. Wszyscy oni
przychodziliby właśnie do pana. Proszę zostać
doktorem od zwierząt!

Kiedy Sprzedawca Mięsa dla Kotów wy-
szedł, papuga sfrunęła z parapetu i wylądowała
na stole.

— Facet gada z sensem — powiedziała. —
To właśnie powinieneś zrobić. Zostać dokto-
rem od zwierząt. Odpuść sobie ludzi, skoro nie
mają dosyć oleju w głowie, żeby zorientować
się, że jesteś najlepszym lekarzem na świecie.
Opiekuj się zwierzętami. One połapią się raz
dwa. Bądź doktorem od zwierząt.

— Doktorów od zwierząt nie brakuje —
powiedział John Dolittle, wystawiając przy tym
doniczki z kwiatami na parapet, żeby mogły
skorzystać z deszczu.

— Jasne, że nie brakuje — odparła Polinezja. — Ale wszyscy są zupełnie do bani. Słuchaj, Doktorze. Coś ci powiem. Wiedziałeś, że zwierzęta umieją mówić?

— Wiem, że potrafią to papugi — odparł Doktor.

— No cóż, my, papugi, umiemy mówić w dwóch językach: po ludzku i po ptasiemu — wyjaśniła z dumą Polinezja. — Jeśli powiem „Polly chce krakersa”, bez trudu mnie zrozumiesz. Ale posłuchaj tego: Ka-ka oj-iii, fi-fi?

— Wielkie nieba! — zakrzyknął Doktor. — Cóż to znaczy?

— To znaczy: „Czy owsianka już gotowa?”, tyle że po ptasiemu.

— Ojej! Co ty powiesz? — rzekł Doktor. — Nigdy wcześniej tak do mnie nie mówiłaś.

— A niby po co? — spytała Polinezja i wytrzepała sobie z lewego skrzydła okruszki krakersów. — I tak byś nie zrozumiał.

— Powiedz coś jeszcze — poprosił podkscytowany Doktor. Skoczył do bielizniarki i wrócił z ołówkiem i zeszytem na domowe wy-

datki. — Mów powoli, a ja będę wszystko spisywał. To ciekawe... arcyciekawe... A do tego zupełna nowość! Najpierw poproszę o ptasi alfabet. Tylko nie za szybko.

W ten oto sposób Doktor dowiedział się, że zwierzęta mają własny język i że potrafią ze sobą rozmawiać. Przez całe deszczowe popołudnie Polinezja siedziała na kuchennym stole i dyktowała kolejne słowa, które skrzętnie zapisywał.

Kiedy nadeszła pora na herbatę i do środka wkroczył pies Dżip, papuga powiedziała Doktorowi:

— Widziałeś? Właśnie coś do ciebie powiedział.

— Wyglądało, jakby po prostu podrapał się w ucho — odparł Doktor.

— Przecież zwierzęta nie zawsze mówią paszczą czy dziobem — wyjaśniła z naciskiem papuga i uniosła brwi. — Mówią za pomocą uszu, łap, ogonów... wszystkiego! Czasem wcale nie potrzebują wydawać przy tym dźwięku. Wiesz, jak pies marszczy jedną stronę nosa?

— Co to znaczy? — spytał Doktor.

— To znaczy: „Nie widzisz, że przestało padać?” — odparła Polinezja. — Zadał ci pytanie. Psy używają nosów niemal wyłącznie do pytań.

Z biegiem czasu papuga pomogła Doktorowi tak dobrze poznać język zwierząt, że sam nauczył się do nich przemawiać i potrafił zrozumieć każde ich słowo. Wtedy raz na zawsze zrezygnował z leczenia ludzi.

Kiedy tylko Sprzedawca Mięsa dla Kotów ogłosił wszem i wobec, że John Dolittle zamierza pomagać zwierzętom, starsze panie zaraz zaczęły przyprowadzać mu swoje przeżarte ciastkami mopsy i pudle. Rolnicy pokonywali wiele mil, żeby mógł rzucić okiem na ich chore krowy i owce.

Pewnego dnia sprowadzono mu konia pociągowego; biedak był zachwycony, że wreszcie znalazł człowieka, który zna jego język.

— Sęk w tym, Doktorze — powiedział koń — że weterynarz zza wzgórza to absolut-

ny partacz¹¹. Leczy mnie od sześciu tygodni. Myśli, że okulałem... a potrzebuję tylko okularów! Ślepnę na jedno oko. Dlaczegoż to koń nie miałby nosić okularów tak samo jak człowiek? Tymczasem durny konował z za wzgórza ani razu nawet nie zbadał mi wzroku. Ciągle tylko przepisuje mi wielkie tabletki. Próbowałem wszystko mu wyjaśnić, ale nie zna ani słowa po końsku! Potrzebuję okularów.

— No tak, oczywiście — powiedział Doktor. — Migiem je dla ciebie zdobędę.

— Chciałbym mieć parę podobną do pańskich — dodał koń. — Tyle, że z zielonymi szklami. Dzięki nim słońce przestanie mnie razić podczas pracy na polu.

— Naturalnie — odrzekł Doktor. — Dostaniesz zielone.

— Wiesz, w czym tkwi problem? — spytał koń, gdy Doktor otworzył już drzwi frontowe, żeby go wypuścić. — Problem w tym, że każdy uważa, że potrafi leczyć zwierzęta... bo one

¹¹partacz (pot.) — człowiek robiący coś źle, nieudolnie a. niedbale. [przypis edytorski]

nigdy nie skarżą się na swój los. Ale w rzeczywistości o wiele trudniej być dobrym lekarzem od zwierząt niż od ludzi. Syn mojego gospodarza uważa, że wie o koniach wszystko. Szkoda, że go pan nie widział! Ma mózdek wielkości szarańczy, a twarz tak tłustą, że w ogóle nie widać mu oczu! W zeszłym tygodniu próbował robić mi okład z gorczycy¹².

— Gdzie go przyłożył? — spytał Doktor.

— Przyłożył? Nigdzie — odparł koń. — Powiedziałem tylko, że próbowałem. Kopnąłem go, aż wpadł do stawu dla kaczek.

— No, no! — rzucił Doktor.

— Na co dzień jestem bardzo spokojny — wyjaśnił koń. — Spokojny i cierpliwy w stosunku do ludzi. Nie lubię robić hec. Ale kiedy weterynarz przepisał mi niewłaściwe lekarstwo, a ten rumiany dureń zaczął odstawiać swoje cyrki, zwyczajnie nie wytrzymałem.

— Mocno go poturbowałeś? — spytał Doktor.

¹²okład z gorczycy — tradycyjny środek rozgrzewający, stosowany w leczeniu reumatyzmu. [przypis edytorski]

— Skąd — odparł koń. — Kopnąłem tak, żeby nie zrobić mu poważnej krzywdy. Teraz to on jest pod opieką weterynarza. Na kiedy będą gotowe moje okulary?

— Dostaniesz je w przyszłym tygodniu — powiedział Doktor. — Przyjdź we wtorek. Do zobaczenia!

John Dolittle zamówił wielkie, porządne okulary o zielonych szklach, w których koń pociągowy widział tak doskonale, że przestał ślepnąć na jedno oko.

Wkrótce wiele zwierząt hodowlanych z okolic Puddleby zaczęło nosić okulary, a ślepych koni nikt już nie widywał.

Podobnie miały się sprawy z innymi zwierzętami, które przyprowadzano Doktorowi. Kiedy tylko orientowały się, że zna ich język, mówiły mu, jak się czują i gdzie je boli, dzięki czemu z łatwością je leczył.

A potem wracały do siebie i opowiadały znajomym, że w małym domu z wielkim ogrodem mieszka doktor, którego naprawdę warto odwiedzić. Wkrótce wszystkie chore zwierzęta

— konie, krowy, psy, ale i polne maleństwa, takie jak myszy, szczury wodne, borsuki i nietoperze — zaczęły przybywać właśnie na obrzeża miasteczka. Ogród Doktora był więc niemal zawsze pełen pacjentów, którzy próbowali wepchnąć się na wizytę.

Było ich tyle, że Doktor zrobił dla nich specjalne wejścia. Nad drzwiami frontowymi napisał „KONIE”, nad bocznymi „KROWY”, a nad kuchennymi „OWCE”. Każde zwierzątko wchodziło swoją drogą. Dla myszy powstał tunel prowadzący prosto do piwnicy, gdzie ustawiały się w rzędy i cierpliwie czekały, aż Doktor znajdzie czas, żeby się nimi zająć.

Tak oto w kilka lat wszystkie żywe stworzenia w promieniu wielu kilometrów dowiedziały się, kim jest dr med. John Dolittle. A ptaki, które latem odlatywały na południe, opowiadały swoim pobratymcom z odległych krain o wspaniałym doktorze z Puddleby nad rzeką Marsh, który zna ich mowę i zawsze pomaga potrzebującym. Stał się więc słynny wśród zwierząt z całego świata, jeszcze bardziej niż

kiedyś wśród zamieszkujących okolicę ludzi. Był szczęśliwy i bardzo podobało mu się życie, jakie teraz wiódł.

Pewnego popołudnia, gdy pisał kolejną książkę, Polinezja usiadła na oknie i — jak zwykle — zaczęła obserwować liście, które tańczyły na wietrze po całym ogrodzie. Po chwili zaśmiała się w głos.

— Co się stało, Polinezjo? — spytał Doktor, podnosząc wzrok znad książki.

— Po prostu tak sobie dumam... — powiedziała papuga. Dalej obserwowała liście.

— Nad czym?

— Nad ludźmi — odparła. — Niedobrze mi się robi na samą myśl. Mają o sobie stanowczo zbyt wysokie mniemanie. Świat istnieje od tysięcy lat, prawda? A z języka zwierząt zdołali w tym czasie wyłapać tylko tyle, że kiedy pies macha ogonem, to znaczy, że jest zadowolony. Nieźle, co? Jesteś pierwszym człowiekiem, który gada po naszymu. Tak, słowo daję, ludzie naprawdę potrafią zająć mi za skórę! Szcze-

gólnie, kiedy rozprawiają, jakie to zwierzęta są durne. Durne! Ha! Znałam kiedyś pewną arę, która umiała powiedzieć „Dzień dobry” na siedem różnych sposobów, nie otwierając przy tym dzioba! Znała też wszystkie języki. Nawet grekę, której nauczył ją stary profesor z siwą brodą. Ale ara w końcu od niego uciekła. Uważała, że stary kaleczy grekę i nie mogła słuchać, jak przekazuje uczniom wszystkie swoje błędy. Ciekawa jestem, co się z nią potem stało. Z geografii też była lepsza od niejednego człowieka. Ludzie! Też mi coś! Gwarantuję, że jeśli kiedykolwiek nauczą się latać, co umie przecież byle wróbel, będą o tym gadać i gadać, i gadać do znudzenia!

— Mądre z ciebie ptaszysko — stwierdził Doktor. — A tak właściwie to ile masz lat? Wiem, że papugi i słonie dożywają czasem naprawdę sędziwego wieku.

— Nie mogę odpowiedzieć z całkowitą pewnością — odparła Polinezja. — Mam albo 183, albo 182 lata. Ale wiem, że kiedy przyleciałam tutaj z Afryki, król Karol ukrywał się jeszcze

w pniu dębu¹³. Wiem, bo go widziałam. Był blady jak ściana.

ROZDZIAŁ TRZECI. DALSZE PROBLEMY FINANSOWE

Doktor wkrótce znów zaczął zarabiać, a jego siostra Sara kupiła sobie nową suknię i chodziła cała szczęśliwa.

Niektóre zwierzęta, które przychodziły na wizytę, były tak chore, że musiały zostawać u Doktora na tygodniową rekonwalescencję¹⁴. Najczęściej siadywały wtedy na jego leżakach ogrodowych.

Często nie chciały sobie jednak pójść nawet po powrocie do zdrowia, bo tak bardzo podobał im się lekarz i jego domek. A on nie miał serca odmawiać, kiedy pytały, czy mogą zostać z nim

¹³król Karol ukrywał się jeszcze w pniu dębu — chodzi o króla Karola II Stuarta, który po bitwie pod Worcester, w której został pokonany przez armię parlamentu pod dowództwem Cromwella, w 1651 roku ukrywał się przez jakiś czas w dębie.
[przypis tłumacza]

¹⁴rekonwalescencja — okres powrotu do pełnej sprawności po odbytej chorobie.
[przypis edytorski]

na stałe. Jego menażeria¹⁵ powiększała się więc z każdym dniem.

Pewnego wieczora, gdy Doktor siedział na murze w swoim ogrodzie i palił fajkę, zza rogu wyszedł włoski katarzyniarz z małpą na sznurku. Doktor od razu zauważył, że obroża na szyi małpki jest za ciasna, a zwierzę brudne i niezdrowe. Zabrał więc małpkę Włochowi, dał mu szylinga¹⁶ i kazał zmiatać. Katarzyniarz okropnie się zezłościł i powiedział, że chce zatrzymać małpkę. Ale wtedy Doktor zagroził, że jeśli tamten zaraz nie odejdzie, rozkwasi mu nos. John Dolittle był krępy¹⁷, ale bardzo silny. Tak więc Włoch oddalił się, mamrocząc pod nosem przekleństwa, a małpka została z Doktorem Dolittle, gdzie żyło jej się znakomicie. Inne zwierzęta nazwały ją Czi-Czi. To dość popularne słowo w języku małp, które oznacza „rudzielec”.

¹⁵*menażeria* — dzikie zwierzęta zgromadzone najczęściej w celu pokazywania ich publiczności. [przypis edytorski]

¹⁶*szyling* — moneta używana w Anglii do 1971 r. [przypis edytorski]

¹⁷*krępy* — niewysoki, mocno zbudowany. [przypis edytorski]

Innym razem do Puddleby przyjechał cyrk. Nocą uciekł z niego i przyszedł do ogrodu Doktora pewien krokodyl z bolącym zębem. Doktor pogadał z nim po krokodylemu, zaprosił go do środka i zaraz wyleczył ząb. Ale kiedy gad zobaczył, jak miłe jest wewnątrz domu, pełne kryjówek w sam raz dla różnych zwierząt, sam zapragnął zamieszkać z Doktorem. Zapytał, czy mógłby spać w stawiku na tyłach ogrodu, jeśli obieca, że nie zje ani jednej rybki, a kiedy ludzie z cyrku przyszli, żeby go zgarnąć, wpadł w taki szal, że się wystraszyli i uciekli. Ale wobec mieszkańców domu zawsze był łagodny jak baranek.

Niestety, starsze panie bały się krokodyla, przestały więc posyłać do Doktora swoje chore pieski. Rolnicy też byli pewni, że gad połknie ich jagnięta i cielaki. Doktor poszedł więc do krokodyla i wytłumaczył mu, że już czas wrócić do cyrku. Zwierzak jednak zalał się łzami i tak długo błagał, żeby pozwolić mu zostać, że Doktor zwyczajnie musiał się zgodzić.

Sara postawiła sprawę jasno:

— Johnie — powiedziała. — Musisz odprawić tę kreaturę. Rolnicy i starsze panie boją się przysyłać do ciebie chore zwierzęta. Dopiero co znów zaczęło nam się lepiej powodzić, ale teraz popadniemy w całkowitą ruinę. Tego już za wiele. Nie zamierzam dłużej zajmować się twoim domem, jeśli nie odeślesz aligatora.

— To nie aligator — odparł Doktor. — Tylko krokodyl.

— Jak zwał, tak zwał — powiedziała Sara. — Grunt, że nikt nie chciałby go znaleźć pod swoim łóżkiem. Ma zniknąć z tego domu.

— Przecież obiecał mi, że nikogo nie ugryzie — powiedział Doktor. — Nie lubi cyrku. A ja nie mam pieniędzy, żeby odesłać go do Afryki, skąd pochodzi. Zajmuje się sobą i ma bardzo dobre maniery. Nie marudź.

— Powtarzam: nie zgadzam się, żeby u nas mieszkał — powiedziała Sara. — Przecież on zżera linoleum¹⁸! Jeśli natychmiast go nie przegonisz, to... to... wezmę i wyjdę za mąż!

¹⁸*linoleum* — tkanina jutowa pokryta warstwą masy podobnej do gumy, używana jako wykładzina podłogowa. [przypis edytorski]

— W porządku — powiedział Doktor. —
Weź i wyjdź za mąż. Siła wyższa.

Potem złapał kapelusz i wyszedł do ogrodu.

Więc Sara Dolittle spakowała manatki¹⁹ i odjechała, a Doktor został z ukochanymi zwierzętami całkiem sam.

Wkrótce stał się biedniejszy niż kiedykolwiek. Miał teraz mnóstwo paszcz do wykarmienia i cały dom na utrzymaniu. Nikt nie naprawiał zepsutych sprzętów i nie było z czego zapłacić rzeźnikowi. Sytuacja stała się niewesoła. Jednak Doktor w ogóle się tym nie przejmował.

— Pieniądze to utrapienie! — powtarzał.
— Żyłoby się nam wszystkim o wiele lepiej, gdyby nigdy nie zostały wynalezione. Po co o nich myśleć, skoro jesteśmy szczęśliwi?

Jednak wkrótce same zwierzęta zaczęły się niepokoić. Pewnego wieczoru, gdy Doktor zasnął już w fotelu przed kominkiem, zaczęły szeptać między sobą. Sowa Tu-Tu, która umiała

¹⁹*manatki* (pot.) — rzeczy osobiste zabierane w podróż. [przypis edytorski]

świetnie rachować²⁰, obliczyła, że pieniędzy zostało jedynie na najbliższy tydzień — jeśli wszyscy ograniczą się do jednego posiłku dziennie.

Potem papuga powiedziała:

— Chyba powinniśmy sami zająć się pracami domowymi. Przynajmniej tyle możemy zrobić. Bądź co bądź to z naszego powodu starszy pan postanowił żyć samotnie i w nędzy.

Ustalono więc, że małpka Czi-Czi będzie gotować i wykonywać drobne naprawy, pies zacznie zamiatać podłogi, a kaczka odkurzać półki i słać łóżka. Sowie Tu-Tu przypadło prowadzenie domowych rachunków, a prosiaczkowi prace ogrodowe. Papuga Polinezja została panią domu i praczką, bo była najstarsza.

Nowe obowiązki początkowo przysparzały zwierzętom wielu trudności... no, z wyjątkiem Czi-Czi, która miała chwytne dłonie i mogła pracować jak człowiek... ale wkrótce wszystkie przyzwyczyły się do tej sytuacji. Lubily obserwować, jak pies Dżip zamiata podłogę — zamiast szczotki miał szmatę przywiązaną do

²⁰*rachować* — liczyć. [przypis edytorski]

ogona. Po pewnym czasie zaczęły sobie radzić tak dobrze, że Doktor przyznał, że dom wygląda czyściej niż kiedykolwiek.

I tak to się toczyło przez pewien czas, choć brak pieniędzy dawał się wszystkim we znaki.

W końcu zwierzęta rozstawiły przed bramą posesji stragan z warzywami i kwiatami, które sprzedawały przechodniom. Nie zarabiały co prawda dość, żeby starczyło na wszystkie wydatki, ale Doktor nadal się nie przejmował. Kiedy papuga przyfrunęła powiedzieć mu, że sprzedawca ryb nie chciał dać im już ani jednej sztuki na kredyt, odparł:

— Nieważne. Póki kury znoszą jajka, a krowa daje mleko, możemy jeść omlety i twaróg. W ogrodzie zostało jeszcze dużo warzyw, a do zimy daleko. Nie marudź. Poczciwa Sara też ciągle marudziła! Ciekawe, jak sobie teraz radzi. To wspaniała kobieta... no, na swój sposób. Co zrobić!

Ale śnieg spadł tego roku niespodziewanie wcześniej i biały puch przykrył tych kilka warzyw, które zostały jeszcze w ogrodzie. Więc

choć kulawy koń przytargał z lasu pod miastem mnóstwo drewna na opał, zwierzętom zaczęła doskwierać głód.

ROZDZIAŁ CZWARTY. WIEŚCI Z AFRYKI

Była to bardzo mroźna zima. Pewnej grudniowej nocy, gdy wszyscy siedzieli w kuchni wokół pieca, a Doktor czytał na głos fragment książki, którą napisał w języku zwierząt, sowa Tu-Tu nagle powiedziała:

— Ćśś! Ktoś hałasuje w ogrodzie!

Wszyscy wyteżyli słuch. Rzeczywiście: ktoś głośno tupał po śniegu. Potem drzwi otworzyły się na oścież i do środka wpadła zziajana małpka Czi-Czi.

— Doktorze! — zawołała. — Właśnie dostałam wiadomość od kuzyna z Afryki. Wśród tamtejszych małp wybuchła epidemia. Wszystkie chorują i mnóstwo z nich umiera. Słyszały o tobie i błagają, żebyś przybył do Afryki i powstrzymał chorobę.

— Kto przyniósł ci wiadomość? — spytał Doktor, zdejmując okulary i odkładając książkę.

— Jaskółka — wyjaśniła Czi-Czi. — Siedzi na beczce na deszczówkę.

— Powiedz jej, żeby podfrunęła do ognia — powiedział Doktor. — Musi być okropnie zmarznięta. Jaskółki odlatywały na południe już sześć tygodni temu!

Wprowadzono zziębniętą, drżącą jaskółkę do domu. Choć początkowo była onieśmielona, szybko się ogrzała, usiadła na kominku i zaczęła swoją opowieść.

Kiedy skończyła, Doktor stwierdził:

— Chętnie udałbym się do Afryki, choćby po to, żeby uciec przed mrozem. Ale obawiam się, że nie mam pieniędzy na bilet. Podaj skarbonkę, Czi-Czi.

Małpka wspięła się na komodę i zdjęła ją z górnej półki.

W środku nie było nic — ani jednej monety!

— Zdawało mi się, że leży tam jeszcze dwupensówka²¹!

— Rzeczywiście, leżała — przyznała sowa. — Ale wydałeś ją na gryzak dla małego borsuka, kiedy zaczął ząbkować.

— Doprawdy? — spytał Doktor. — Wielkie nieba! Pieniądze to doprawdy utrapienie! Cóż, mniejsza z tym. Może jeśli pójdę na wybrzeże, uda mi się wypożyczyć łódź, która zabierze nas do Afryki. Znam w mieście pewnego żeglarza. Przyszedł do mnie, kiedy jego dziecko zachorowało na odrę. Wyleczyłem je, więc być może teraz użyczy nam łodzi.

Tak więc następnego dnia wczesnym rankiem Doktor ruszył na wybrzeże. A kiedy wrócił, powiedział zwierzętom, że miał rację: żeglarz rzeczywiście zgodził się pożyczyć mu swoją łódź.

Krokodyl, małpka i papuga bardzo się ucieszyły i zaczęły śpiewać z radości, bo wiedziały,

²¹*dwupensówka* — moneta o wartości dwóch pensów; *pens*: drobna moneta w Anglii. [przypis edytorski]

że wracają do Afryki — ich prawdziwego domu. A Doktor powiedział:

— Mogę zabrać tylko waszą trójkę. A do tego psa Dżipa, kaczkę Dab-Dab, prosiaczka Gub-Gub i sowę Tu-Tu. Pozostałe zwierzęta, czyli orzesznice, szczury wodne i nietoperze będą musiały wrócić na pole, gdzie przyszły na świat, i tam zaczekać na mój powrót. Większość z nich i tak przesypia zimę, więc nie będą miały mi za złe. A afrykański klimat nie przypadłby im do gustu.

Następnie papuga, która miała już na koncie wiele morskich podróży, zaczęła wyliczać, co konkretnie Doktor musi zabrać ze sobą na pokład.

— Musisz zapakować mnóstwo specjalnego pieczywa — powiedziała. — Konkretnie sucharów. No i wołowinę w puszkach. I kotwicę.

— Sądzę, że łódź może mieć własną kotwicę — zasugerował Doktor.

— Upewnij się — rzekła Polinezja. — Bo to kluczowa kwestia. Bez kotwicy się nie zatrzymasz. Przyda się też dzwonek.

— Do czego? — spytał Doktor.

— Żeby wiedzieć, która godzina — wyjaśniła papuga. — Musisz dzwonić co pół godziny, żeby się nie pogubić. I zabierz tyle liny, ile zdołasz. W podróży lina zawsze się przydaje.

Potem wszyscy zaczęli myśleć, jak zapłacą za potrzebny ekwipunek²².

— A niech to! Znowu pieniądze! — zrzędził Doktor. — Słowo daję, że nie mogę się doczekać, aż dotrzemy do Afryki, gdzie nie będą nam potrzebne! Pójdę zapytać sklepikarza, czy zgodzi się, żebym zapłacił mu dopiero, kiedy wrócę. Albo lepiej: poślę żeglarza, żeby z nim pomówił.

Więc żeglarz poszedł pogadać ze sklepikarzem, a kiedy wrócił, miał ze sobą wszystko, czego potrzebowali.

Zwierzęta spakowały manatki. Zamknęły dopływ wody, żeby rury nie zamarzły, zatrzasnęły okiennice i zamknęły drzwi na klucz, który następnie zaniósł do stajni, gdzie mieszkał

²²*ekwipunek* — wyposażenie; zbiór rzeczy potrzebnych na wyprawę, do wyposażenia statku itp. [przypis edytorski]

stary koń. Upewniły się, że siana wystarczy mu na całą zimę, ruszyły z bagażami na wybrzeże i wsiadły na łódź.

Odprowadził je Sprzedawca Mięsa dla Kotów. Przyniósł ze sobą wielką porcję puddingu²³, którą sprezentował Doktorowi, bo słyszał, że takich smakołyków próżno szukać w obcych krajach.

Gdy tylko znaleźli się na statku, prosiaczek Gub-Gub spytał, gdzie są łóżka, bo była już czwarta po południu — pora na drzemkę. Wtedy Polinezja zaprowadziła go pod pokład i pokazała koje, przymocowane na ścianie jedna nad drugą.

— Przecież to półki, nie łóżka! — zawołał Gub-Gub.

— Żadne tam półki! Na statkach zawsze tak jest — wyjaśniła papuga. — To twoja koja. Właż na nią i śpij.

— Chyba jednak jeszcze się nie położę — oznajmił Gub-Gub. — Jestem zbyt podekscy-

²³*pudding* — tradycyjna potrawa angielska o konsystencji budyniu sporządzana z owoców lub warzyw, nie zawsze na słodko. [przypis edytorski]

towany. Chcę wrócić na pokład i zobaczyć, jak odpływamy od brzegu.

— Cóż, to twoja pierwsza podróż — przyznała Polinezja. — Z czasem przyzwyczaisz się do życia na morzu.

I sama wróciła na pokład, mrużąc pod dziobem piosenkę:

Znam już Morze Czerwone i Czarne,
Białą Wyspę widziałem nie raz.
Rzekę Żółtą odkryłem ja pierwszy,
Pomarańczową też, w świetle gwiazd.

Kraj zielony znów niknie gdzieś za mną,
Ocean błękitem łśni,
Lecz mam dosyć kolorów, kochana,
A więc wracam, gdzie czekasz mnie ty.

Doktor mruknął, że zanim wyruszą, powinien jeszcze zapytać żeglarza, w którą stronę płynąć, żeby dotrzeć do Afryki. Ale jaskółka powiedziała, że była tam wiele razy i że zna drogę.

Więc Doktor polecił Czi-Czi podnieść kotwicę i podróż rozpoczęła się na dobre.

ROZDZIAŁ PIĄTY. WIELKA WYPRAWA

Żeglowali po wzburzonym morzu przez całe sześć tygodni, zawsze w ślad za jaskółką, która leciała przodem i wskazywała im drogę. Nocami brała ze sobą małą latarenkę, żeby było ją widać w ciemności. Żeglarze na statkach, które przepływały obok, brali ją za spadającą gwiazdę.

Gdy tak płynęli, coraz dalej i dalej na południe, robiło się coraz cieplej i cieplej. Polinezja, Czi-Czi i krokodyl rozkoszowali się słońcem. Biegali roześmiani i wyglądali przez burzę, żeby sprawdzić, czy nie widać już przypadkiem Afryki.

Ale upał doskwierał prosiaczkowi, psu i sowie Tu-Tu, którzy mogli tylko siedzieć z wywalonymi językami na rufie, w cieniu wielkiej beczki i popijać lemoniadę.

Kaczka Dab-Dab wskakiwała do wody i pływała za statkiem, żeby się ochłodzić. Co pewien czas, gdy robiło jej się za gorąco w czubek głowy, nurkowała, przepływała pod dnem łodzi i wypływała po drugiej stronie. Robiła to samo, kiedy łowiła śledzie — we wtorki i piątki wszyscy członkowie załogi jedli ryby, żeby oszczędzać puszkowaną wołowinę.

Byli już niedaleko równika, gdy zobaczyli, że zbliża się do nich stado latających ryb. Ryby zapytały papugę, czy to statek Doktora Dolittle'a. Kiedy odparła, że tak, bardzo się ucieszyły, bo podobno małpy w Afryce zaczęły się już niepokoić, czy Doktor przybędzie na ich wezwanie. Polinezja spytała, ile kilometrów muszą jeszcze przepłynąć. Latające ryby odparły, że do wybrzeży Afryki zostało ich już tylko 88.

Innym razem zwierzęta zobaczyły tańczącą wśród fal ławicę²⁴ morświnów. One też zapytały Polinezję, czy to statek słynnego Doktora. Gdy usłyszały, że tak, spytały, czy mogą mu w czymś pomóc.

²⁴ławica — skupisko ryb lub zwierząt wodnych w morzach. [przypis edytorski]

A Polinezja powiedziała:

— Owszem. Kończą nam się cebule.

— Niedaleko stąd jest wysepka — oznajmiły morświny — na której rosną dorodne dzikie cebule. Utrzymajcie ten kurs. Popłyniemy ich nazrywać i was dogonimy.

Skoczyły w morskie fale. Niedługo potem papuga znów je dostrzegła: zbliżały się, ciągnąc za sobą sieci z wodorostów pełne cebuli.

Następnego wieczora, o zachodzie słońca, Doktor powiedział:

— Podaj teleskop, Czi-Czi. Nasza podróż dobiega końca. Niedługo powinniśmy zobaczyć wybrzeże Afryki.

Jakieś pół godziny później rzeczywiście wydało im się, że widzą coś na kształt lądu. Ale robiło się coraz ciemniej, więc nie mieli pewności.

Potem rozpętał się potężny sztorm. Grzmiało, a wokół biły pioruny. Wył wiatr, padał ulewny deszcz, a wysokie fale zalewały pokład.

Nagle rozległ się głośny HUK! Statek zniechęcił i przechylił się na bok.

— Co jest? — spytał Doktor, wbiegając po schodach.

— Nie jestem pewna — odparła papuga. — Ale chyba rozbiliśmy się o skały. Każ kaczce wyskoczyć i zbadać sytuację.

Dab-Dab zanurkowała, a kiedy wypłynęła, potwierdziła, że rzeczywiście uderzyli w kamień. W dnie statku była teraz wielka dziura, przez którą do środka wlewała się woda. Tonęli.

— Uderzyliśmy prosto w Afrykę! — stwierdził Doktor. — Co za los! Będziemy musieli dotrzeć do brzegu wpław.

Ale Czi-Czi i Gub-Gub nie umieli pływać.

— Weź linę! — rozkazała Polinezja. — Mówiłam, że się przyda. Gdzie ta kaczka? Chodź no tu, Dab-Dab. Chwyć koniec liny, polec do brzegu i przywiąż ją do palmy. My przytrzymamy tu drugi koniec. A zwierzęta, które nie umieją pływać, przedostaną się na ląd po linie. To się nazywa „lina życia”.

Tak więc wszyscy ostatecznie dostali się na brzeg cali i zdrowi. Niektóre zwierzęta popły-

nęły, inne pofrunęły, a te, które poszły, trzymając się liny, wzięły ze sobą kufer i torbę Doktora.

Ale dziurawy statek do niczego się już nie nadawał. Fale raz po raz biły nim o kamienie, aż całkiem się rozpadł, a deski odpłynęły z prądem.

Wszyscy schronili się w miłej, suchej jaskini, którą znaleźli wśród wysokich skał i tam przeczekali sztorm.

Następnego ranka, po wschodzie słońca, udali się na piaszczystą plażę, żeby wyschnąć.

— Kochana stara Afryka! — westchnęła Polinezja. — Dobrze do niej wrócić. Pomyśleć tylko... jutro minie 169 lat, odkąd odwiedziłam ją po raz ostatni! A nie zmieniła się ani odrobinię! Te same palmy, ta sama czerwona ziemia, te same czarne mrówki. Nie ma jak w domu!

Inni zauważyli, że ma w oczach łzy. Powrót do ojczyzny naprawdę ją ucieszył.

Doktor zorientował się, że zgubił cylinder — wiatr zdmuchnął mu go z głowy podczas sztormu. Dab-Dab poleciała na poszukiwania

i znalazła go daleko od brzegu. Dryfował na falach jak plastikowa łódka. Kiedy podleciała, żeby go złapać, zobaczyła, że w środku kuli się ze strachu biała myszka.

— Co tu robisz? — spytała kaczka. — Przecież miałaś zostać w Puddleby.

— Nie chciałam, żebyście odpłynęli beze mnie — wyjaśniła mysz. — Chciałam zobaczyć Afrykę. Mam tam krewnych. Więc ukryłam się w bagażu. Wniesiono mnie na pokład razem z sucharami. Kiedy statek zatonął, okropnie się przestraszyłam... bo nie umiem zbyt długo pływać. Pływałam, ile mogłam, ale wkrótce się zmęczyłam i byłam pewna, że utonę. I wtedy, w ostatniej chwili pojawił się obok mnie cylinder Doktora. Wskoczyłam do środka, żeby nie pójść na dno.

Więc kaczka uniosła cylinder z myszą w środku i poleciała, żeby oddać go Doktorowi, który czekał na brzegu. Wszyscy zebrali się, żeby obejrzeć znalezisko.

— To się nazywa „pasażer na gapę” — wyjaśniła papuga.

Próbowali właśnie zrobić dla myszy miejsce w kufrze, żeby mogła wygodnie podróżować, kiedy nagle odezwała się małpka Czi-Czi.

— *Ćśś!* Słyszę kroki w puszczy!

Wszyscy umilkli i zaczęli nasłuchiwać. Wkrótce spomiędzy drzew wyłonił się czarnoskóry mężczyzna i zapytał, co tu robią.

— Nazywam się John Dolittle. Jestem doktorem medycyny — wyjaśnił Doktor. — Poproszono mnie, żebym przybył do Afryki wyleczyć chore małpy.

— Wszyscy musicie stanąć przed królem — stwierdził mężczyzna.

— Jakim znowu królem? — spytał Doktor, który nie chciał tracić czasu.

— Władcą królestwa Jolliginki — wyjaśnił mężczyzna. — To jego ziemie. Każdy, kto tu przybywa, musi stawić się przed jego obliczem. Za mną!

Posłusznie zebrali bagaże i ruszyli za mężczyzną w głąb dżungli.

ROZDZIAŁ SZÓSTY. POLINEZJA I KRÓL

Przeszli kawałek przez gęstą dżunglę, po czym wyszli na otwartą przestrzeń i zobaczyli pałac zrobiony z błota. Właśnie tam mieszkał król wraz ze swoją królową Ermintrudą oraz synem, księciem Bumpo. Księżę był teraz nad rzeką i łowił łososie, ale król i królowa siedzieli pod parasolem przed drzwiami do pałacu. Królowa Ermintruda spała.

Kiedy Doktor dotarł na miejsce, król spytał, co go sprowadza. Doktor wyjaśnił, czemu przybył do Afryki.

— Nie wolno ci podróżować po moich ziemiach — powiedział król. — Wiele lat temu przybył do nas inny biały człowiek. Traktowałem go bardzo życzliwie. Ale kiedy już rozkopał ziemię, żeby wyciągnąć z niej złoto, i pozabił słonie, żeby odciąć im ciosy²⁵, potajemnie

²⁵*ciosy* — przekształcone górne siekacze słonia (nieprawidłowo nazywane popularnie kłami); ciekawą ich właściwością jest to, że rosną przez całe życie zwierzęcia; ciosy są wykorzystywane jako surowiec zwierzęcy zwany kość słoniowa. [przypis edytorski]

wrócił na statek i odpłynął, nie dziękując mi ani słowem. Nigdy więcej nie będzie żaden biały przemierzał moich ziem.

Następnie zwrócił się do stojących niedaleko czarnoskórych mężczyzn.

— Zabierzcie tego szamana²⁶ — rozkazał — i wrzucie go razem ze zwierzętami do mojego najlepiej strzeżonego więzienia.

Sześciu strażników odprowadziło Doktora i jego zwierzęta do lochu. Cella, do której trafili, miała tylko jedno zakratowane okienko, które znajdowało się tuż pod sufitem. Drzwi były solidne i grube.

Wszystkim zrobiło się smutno. Prosiaczek Gub-Gub zaczął płakać, ale umilkł, kiedy Czi-Czi zagroziła, że da mu klapsa, jeśli nie przestanie tak wyc.

— Jesteśmy w komplecie? — spytał Doktor, kiedy oczy przyzwyczały mu się już do półmroku.

²⁶*szaman* — osoba pełniąca ważną funkcję w religiach animistycznych: utrzymuje ona stały kontakt z istotami nadludzkimi, duchami przodków i demonami, dzięki czemu potrafi m.in. leczyć. [przypis edytorski]

— Chyba tak — odparła kaczka i zaczęła liczyć zebranych.

— Gdzie Polinezja? — spytał krokodyl. — Nie ma jej tu.

— Na pewno? — spytał Doktor. — Rozejrzyjmy się. Polinezjo! Polinezjo! Gdzie jesteś?

— Pewnie uciekła — mruknął krokodyl. — To bardzo w jej stylu! Czmychnęła do dżungli, kiedy tylko jej przyjaciele wpadli w tarapaty.

— To zupełnie *nie* w moim stylu — powiedziała papuga, wyłaząc z kieszeni płaszcza Doktora. — Rzecz w tym, że jestem wystarczająco mała, żeby przecisnąć się przez kraty w oknie. Bałam się, że umieszczą mnie w specjalnej klatce. Więc kiedy król był zajęty gadaniem, ukryłam się w kieszeni Doktora... i oto jestem! To się nazywa „fortel” — dodała, przysładzając dziobem piórka.

— Wielkie nieba! — zawołał Doktor. — Masz szczęście, że na tobie nie usiadłem.

— Posłuchaj — powiedziała Polinezja. — Dziś wieczorem, kiedy zrobi się ciemno, zamierzam przeleźć przez kraty w oknie i przefrunąć do pałacu. Zobaczycie, że na pewno uda mi się skłonić króla, żeby was wypuścił.

— Niby jak? — spytał Gub-Gub. Uniósł ryjek i znów zaczął chlipać. — Przecież jesteś tylko ptakiem!

— Nie da się ukryć — odparła papuga. — Ale nie zapominaj, że ptakiem, który umie mówić po ludzku. I że dobrze znam tych ciemnoskórych.

Tej samej nocy, kiedy księżyc przeświecał przez liście palm, a wszyscy ludzie króla już spali, papuga prześlizgnęła się przez kraty w oknie więziennej celi i poleciała do pałacu. Szyba w oknie spizarni była wybita — tydzień wcześniej trafiła w nią piłka do tenisa — więc Polinezja wleciała przez nią do środka.

Usłyszała, że księżę Bumpo chrapie w swojej sypialni na tyłach pałacu. Weszła cichutko po schodach i dotarła do sypialni króla. Delikatnie uchyliła drzwi i zerknęła do środka.

Królowa spędzała tę noc na balu u swojego kuzyna, ale król leżał już w łóżku i smacznie spał.

Polinezja podkradła się bliżej i weszła pod łóżko.

Potem kaszlnęła — tak, jak robił to czasem Doktor Dolittle. Potrafiła doskonale naśladować każdego, kogo zechciała.

Król otworzył oczy i powiedział zaspanym głosem:

— Czy to ty, Ermintrudo? — (Myślał, że królowa wróciła już z balu).

Papuga kaszlnęła jeszcze raz: głośno, jak człowiek. Król usiadł na łóżku, całkiem rozbudzony.

— Kto tu jest? — zapytał.

— To ja, Doktor Dolittle — powiedziała papuga, doskonale naśladowując głos Doktora.

— Co robisz w mojej sypialni? — zawołał król. — Jak śmiałeś uciec z więzienia? Gdzie jesteś? Nie widzę cię.

Ale papuga tylko się na to zaśmiała — długim, głębokim, radosnym śmiechem Doktora.

— Przestań rechotać! Pokaż się! — zażądał Król.

— Ty durniu! — odparła Polinezja. — Zapomniałeś, że rozmawiasz z doktorem medycyny Johnem Dolittle? Z najniezwyklejszym człowiekiem na świecie? Jasne, że mnie nie widzisz. Stałem się niewidzialny. Mogę wszystko. A teraz słuchaj: przybyłem tej nocy, żeby cię ostrzec. Jeśli nie pozwolisz nam podróżować po twoim królestwie, sprawię, że ty i twoi poddani rozchorujecie się tak samo jak małpy. Wiedz, że potrafię zarówno leczyć jak i sprowadzać choroby. Starczy, że kiwnę palcem! Natychmiast wyślij żołnierzy, żeby otworzyli drzwi mojej celi, bo inaczej jeszcze tej nocy wszyscy dostaniecie świnki²⁷!

Król tak się przestraszył, że zaraz dostał dreszczy.

— Doktorze — jęknął. — Będzie, jak zechcesz. Tylko błagam, nie kiwaj palcem!

²⁷*świnka* (pot.) — potoczna nazwa wirusowej choroby zakaźnej występującej endemicznie na całym świecie, wywoływanej przez paramyksowirusa i przenoszonoj drogą kropelkową, np. podczas kaszlu i kichania; inaczej: nagminne zapalenie ślinianek przyusznych. [przypis edytorski]

A potem wyskoczył z łóżka i zbiegł do żołnierzy, którym rozkazał otworzyć drzwi więzienia.

Kiedy tylko Polinezja została sama, ostrożnie zeszła po schodach i wyleciała z pałacu przez okno spiżarni.

Ale królowa, która właśnie otwierała kluczem tylne drzwi do pałacu, zobaczyła, jak papuga wylatuje przez rozbite okno. Opowiedziała o tym królowi, gdy tylko ten wrócił do łóżka. Wówczas król zrozumiał, że go oszukano i okrutnie się zdenerwował. Natychmiast pognął z powrotem do więzienia.

Ale się spóźnił. Drzwi stały otworem. Cella była pusta. Po Doktorze i jego zwierzętach nie został nawet ślad.

ROZDZIAŁ SIÓDMY. MAŁPI MOST

Królowa Ermintruda nigdy jeszcze nie widziała męża w takim stanie. Zgrzytał zębami z wściekłości. Wszystkich wokół wyzywał od durniów.

Cisnął szczotką do zębów w pałacowego kota. Przez pewien czas biegał w kółko w koszuli nocnej, po czym obudził wszystkich swoich żołnierzy i rozkazał im przeczesać dżunglę w poszukiwaniu Doktora. Potem posłał za żołnierzami służących — kucharzy, ogrodników, swojego golibrodę i nauczyciela księcia Bum-po. Nawet królowej rozkazał pomóc w poszukiwaniach, choć była wykończona po całej nocy tańców w zbyt ciasnych butach.

Tymczasem Doktor gnał ile sił w nogach w stronę Krainy Małp, a jego zwierzęta za nim.

Gub-Gub miał krótkie nóżki, więc szybko się zmęczył i Doktor musiał go nieść, co nie było łatwe, bo miał już w rękach kufer i torbę.

Król Jolliginki uznał, że łatwo będzie znaleźć Doktora, bo ten był tu obcy i nie wiedział, w którą stronę iść. Ale się mylił. Małpka Czi-Czi знаła bowiem dżunglę jak własną kieszeń — lepiej nawet od ludzi króla. Poprowadziła Doktora i resztę zwierząt przez najgęstsze połacie lasu, do miejsca, gdzie nie stanęła dotąd ludzka stopa. Kazała wszystkim schować

się w pniu starego drzewa, między wielkimi kamieniami.

— Lepiej tu poczekałmy — powiedziała Czi-Czi — aż żołnierze wrócą do łózek. Potem będziemy mogli udać się do Krainy Małp.

Tak właśnie spędzili całą noc.

Słyszeli wokół głosy ludzi króla, którzy przeszukiwali dżunglę, byli jednak zupełnie bezpieczni, bo położenie ich kryjówki znała jedynie Czi-Czi. Nie słyszały o niej nawet inne małpy.

Nareszcie, gdy przez gęstą zasłonę liści zaczęło przebijać się światło słońca, usłyszeli, jak królowa Ermintruda mówi zmęczonym głosem, że dalsze poszukiwania nie mają sensu. Że równie dobrze żołnierze mogą wrócić do domu i się przespać.

Gdy tylko odeszli, Czi-Czi wyprowadziła Doktora i jego zwierzęta z kryjówki i wszyscy wyruszyli do Krainy Małp.

Droga była długa i męcząca — szczególnie dla prosiaczka Gub-Gub. Jednak kiedy tylko

zaczynał płakać, zaraz dostawał mleko kokosowe, które bardzo polubił.

Jedzenia i picia nigdy im nie brakowało. Czi-Czi i Polinezja wiedziały, które z rosnących w dżungli owoców i warzyw są jadalne i jak je znaleźć. Zbierały daktyle, figi, orzeszki ziemne, imbir i bataty. Z soku dzikich pomarańczy przygotowywały lemoniadę, którą słodziły miodem z gniazd dzikich pszczół. Potrafiły zdobyć wszystko, o co tylko prosiły je inne zwierzęta — a przynajmniej zawsze miały w zanadrzu coś bardzo podobnego. Zdarzyło się nawet, że przyniosły Doktorowi tytoń, bo chciał sobie zapalić, a jego zapasy już się wyczerpały.

Noce spędzali na grubych materacach z wyschniętej trawy, w namiotach z liści palmowych. Kiedy przyzwyczaili się już do całodziennych marszy, przestali się męczyć i zaczęli naprawdę cieszyć się podróżą. Zawsze z radością przyjmowali jednak nadejście nocy, które oznaczało postój i odpoczynek. Doktor brał garść patyczków i rozpałał niewielkie ognisko. Po kolacji wszyscy siadali wokół niego i słuchali, jak

Polinezja śpiewa o morzu, a Czi-Czi opowiada o dżungli.

Opowieści Czi-Czi często były bardzo ciekawe. Małpy nie spisywały swojej historii, póki nie zaczął tego dla nich robić Doktor Dolittle, ale niczego nie zapominały — rodzice opowiadali swoim dzieciom o wszystkim, co działo się dawniej. Czi-Czi powtarzała więc historie, które usłyszała od babci. Historie z odległej przeszłości, z czasów sprzed Noego i potopu, gdy ludzie nosili niedźwiedzie skóry, żyli w jaskiniach i jedli baraninę na surowo, bo nie znali ognia i nie wiedzieli, że można ją ugotować. Opowiadała o wielkich mamutach i gadach (długich jak pociągi!), które w owych czasach krążyły po górach i skubały liście z koron drzew. Zwierzęta często siedziały zasluchane i dopiero po skończonej opowieści spostrzeżały, że ogień zgasł. Musiały wtedy nazbierać więcej patyków i rozpalać ognisko od nowa.

Gdy żołnierze króla wrócili do domu i oznajmili, że nie udało im się odnaleźć Doktora, król znowu wysłał ich do dżungli i rozkazał

im zostać tam do skutku. Tak więc gdy Doktor i jego zwierzęta zmierzali do Krainy Małp, myśląc, że nic im nie grozi, w istocie wciąż byli ścigani. Gdyby Czi-Czi o tym wiedziała, najpewniej znów kazałaby im się ukryć. Ale nie miała o tym pojęcia.

Pewnego dnia wspięła się na wysoką skałę i wyjrzała nad korony drzew. Kiedy zeszła, oznajmiła, że niedługo dotrą do celu, bo Kraina Małp jest tuż tuż.

I rzeczywiście. Tego samego wieczora spotkali kuzyna Czi-Czi i wiele innych małp, które jeszcze nie zachorowały. Obsiadły drzewa na brzegu bagna, żeby czekać na przybycie słynnego doktora. Teraz, gdy zobaczyły, że jest już niedaleko, wydały z siebie potężny okrzyk radości. Wiwatowały, machały liśćmi i skakały z gałęzi na ziemię, żeby go powitać.

Powiedziały, że poniosą jego torbę, kufer i cały dobytek, a jedna z roślejszych²⁸ małp wzięła na ręce prosiaczka Gub-Gub, który znów

²⁸roślejszy — wyższy, większy; stopień wyższy przymiotnika od: rosły (wysoki, postawny). [przypis edytorski]

był zmęczony. Dwie małpy pobiegły przodem, żeby przekazać chorym towarzyszom nowinę o przybyciu wybitnego lekarza.

Ale wysłannicy króla, którzy wciąż szli ich śladem, usłyszeli okrzyki i natychmiast zorientowali się, gdzie jest Doktor. Przyspieszyli kroku, by go pojmać.

Duża małpa, która niosła prosiaczka Gub-Gub, szła najwolniej, więc pierwsza dostrzegła przemykającego między drzewami kapitana żołnierzy. Natychmiast podbiegła do Doktora i kazała mu uciekać.

Wszyscy pognali szybciej niż kiedykolwiek wcześniej w całym swoim życiu. Ludzie króla, którzy szli ich śladem, też puścili się pędem, a kapitan biegł na samym przedzie oddziału.

Nagle Doktor potknął się o swoją torbę z lekarstwami i plasnął twarzą w błoto. Kapitan uznał, że tym razem na pewno go złapie, miał jednak bardzo długie uszy i kiedy skoczył naprzód, żeby złapać Doktora, zahaczył uchem o wystającą gałąź. Reszta żołnierzy podbiegła, żeby go oswobodzić. Doktor tymczasem zdołał

wstać i znów popędził naprzód, coraz szybciej i szybciej.

— Jest dobrze! — krzyknęła Czi-Czi. — Już niedaleko!

Zanim jednak dotarli do Krainy Małp, stanęli nad stromą przepaścią, na której dnie płynęła rzeka. Była to granica królestwa Jolliginki. Za rozpadliną rozciągało się królestwo małp.

Pies Dżip spojrział w przepaść i powiedział: — O rany! Jak dostaniemy się na drugą stronę?

— Niech mnie! — jęknął Gub-Gub. — Ludzie króla depczą nam po piętach. Spójrzcie tylko! Boję się, że znów trafimy do więzienia — chlipnął.

Ale wielka małpa, która niosła prosiaczka, teraz postawiła go na ziemi i zawołała do swych towarzyszy:

— Chłopaki, szybko! Most! Robimy most! Mamy tylko chwilę. Uwolnili już kapitana, pędzi tu jak jelen. Żwawo, żwawo! Most! Most!

Doktor był ciekaw, z czego konkretnie zamierzają go zbudować. Rozejrzał się w poszukiwaniu ukrytych desek.

Ale kiedy znów spojrzął w stronę urwiska, zobaczył nad nim gotowy most, który tylko czekał, aż Doktor po nim przejdzie — żywy most zrobiony z małp! Najwyraźniej utworzyły go w kilka sekund, kiedy tylko odwrócił się do nich plecami. Po prostu złapały jedna drugą za ręce i stopy.

Wielki małpiszon zawołał do doktora:

— Przechodźcie! Przechodźcie wszyscy, szybko!

Gub-Gub początkowo nie chciał iść po tak wąskim moście, zawieszonym wysoko nad rzeką, bo kręciło mu się w głowie. Ale w końcu dał sobie radę tak samo jak pozostali.

John Dolittle przeszedł jako ostatni. Gdy tylko dotarł na drugi brzeg, ludzie króla wybiegli na krawędź urwiska.

Zaczęli wygrażać mu pięściami i wrzeszczeć z wściekłości, gdy zrozumieli, że się spóźnili. Doktor i jego zwierzęta dotarli bezpiecznie do

Krainy Małp, a most wciągnięto na drugą stronę rozpadliny.

Czi-Czi spojrzała na Doktora i powiedziała: — Wielu wybitnych odkrywców i sędziwych przyrodników zaszywało się w dżungli na długie tygodnie, żeby zobaczyć tę małpią sztuczkę. Ale nigdy wcześniej nie pozwoliliśmy na to żadnemu białemu człowiekowi. Właśnie tobie, jako pierwszemu, dane było oglądać słynny Małpi Most.

Jej słowa sprawiły Doktorowi ogromną przyjemność.

ROZDZIAŁ ÓSMY. PRZYWÓDCA LWÓW

John Dolittle był teraz okrutnie, nieznośnie zajęty. Miał wokół siebie setki chorych małp — goryli, orangutanów, szympansów, pawianów, marmozet, małp szarych i rudych i wszystkich pozostałych. Wiele z nich już umarło.

Zaczął od oddzielenia małp chorych od zdrowych. Potem poprosił Czi-Czi i jej kuzyna, że-

by zbudowali mu małą chatkę z trawy. Następnie polecił zdrowym małpom przyjść do niego, żeby się zaszczepić.

Przez trzy dni i trzy noce małpy schodziły się z dżungli, dolin i wzgórz, a Doktor siedział w chatce i szczepił je bez chwili wytchnienia.

Potem polecił zbudować kolejny dom, tym razem duży, żeby starczyło miejsca na wiele łóżek. Umieścił tam wszystkie chore zwierzęta. Ale było ich takie mrowie, że szybko zabrakło zdrowych małp do opieki. Doktor rozesłał więc prośby o pomoc do innych zwierząt: lwów, lampartów i antylop.

Jednak Przywódca Lwów był stworzeniem niezwykle dumnym. Kiedy przyszedł do wielkiego domu Doktora, pełnego łóżek z chorymi, wydawał się urażony i wściekły.

— Naprawdę miał pan czelność prosić o pomoc... *mnie*? — spytał. — Śmiał pan mnie wezwać? Ja, król zwierząt, miałbym usługiwać stadu brudnych małpisonów? Przecież nie pożarłbym ich nawet między posiłkami!

Choć lew wyglądał strasznie, Doktor robił wszystko, żeby nie pokazać, że się boi.

— Nie prosiłem, żebyś je pożerał — rzekł cicho. — Poza tym wcale nie są brudne. Dziś rano wszystkie się kąpały. Za to twoja sierść wygląda, jakby tęskniła za szczotką. Coś ci powiem. Posłuchaj mnie. Co jeśli pewnego dnia zachorują właśnie lwy? Jeśli nie pomożecie teraz innym zwierzętom, zostaniecie same, gdy będziecie miały problemy. Dumne ludy często tak właśnie kończą.

— Lwy nie miewają problemów. Raczej sprawiają je innym — powiedział lew, zadzierając nosa. Potem pomaszerował między drzewa z poczuciem, że Doktorowi na pewno w pięty poszło.

W tej sytuacji lamparty też uniosły się dumą i oznajmiły, że nie pomogą. Antylopy (rzecz jasna!) tak samo, choć brakowało im śmiałości, żeby zachować się wobec Doktora równie nieuprzejmie. Kopały w ziemi, uśmiechały się głupio i powtarzały, że żadna z nich nie była nigdy pielęgniarzką.

Biedny Doktor bardzo się martwił. Nie miał pojęcia, skąd zdobyć opiekunów dla tysięcy chorych małąp.

Ale Przywódca Lwów, kiedy wrócił do legowiska, zobaczył, jak jego żona, Królowa Lwica, biegnie do niego z rozwianym futrem.

— Jedno z lwiątek nie chce jeść — powiedziała. — Nie wiem, co mam robić. Od wczoraj nie wzięło nic do pyszczka.

Zaczęła płakać i drzeć ze zdenerwowania — była dzielną lwicą, ale i czułą matką.

Więc Przywódca poszedł do legowiska i przyjrzał się swoim dzieciom — dwóm sprytnym lwiątkom, które leżały na ziemi. Jedno z nich wyglądało naprawdę kiepsko.

Następnie lew z dziką satysfakcją powtórzył żonie, co powiedział Doktorowi. A ona tak się wściekła, że niemal wyrzuciła go z legowiska.

— Nigdy nie miałeś ani kropli oleju w głowie! — ryknęła. — Wszystkie zwierzęta stąd aż po Ocean Indyjski mówią o wspaniałym człowieku, który potrafi wyleczyć każdą chorobę i o tym, jaki jest czuły i życzliwy... on, jedy-

ny człowiek na całym świecie, który zna język zwierząt! A teraz... właśnie teraz, kiedy nasze dziecko choruje, ty postanowiłeś go obrazić! Idioto! Dobrego lekarza źle traktują tylko tępaki! Ty...

Zaczęła wyrywać mężowy włosy z grzywy.

— Natychmiast wracaj do tego białego człowieka — wrzasnęła — i powiedz mu, że przepraszasz. Zabierz ze sobą całą resztę zdurniałych lwów, a do tego tępe lamparty i antylopy. I róbcie wszystko, co Doktor wam rozkaże. Haruj jak wół! Być może go udobruchasz i zgodzi się potem zbadać nasze lwiątko. No, idź już! Szybciej, mówię! Wcale się nie nadajesz na ojca!

I poszła do sąsiedniego legowiska, gdzie mieszkała jej matka, żeby opowiedzieć jej o całej sprawie.

Przywódca Lwów wrócił więc do Doktora.

— Akurat tędy przechodziłem — mruknął — i pomyślałem, że zajrzę. Znalazłeś już kogoś do pomocy?

— Nie — odparł doktor. — Nie znalazłem. I bardzo mnie to martwi.

— W dzisiejszych czasach trudno o pomoc — stwierdził lew. — Zwierzęta zwyczajnie nie chcą pracować. Takie już są. No cóż... Widzę, że nie jest ci łatwo. W zasadzie byłbym skłonny wyświadczyć ci tę przysługę i zrobić, co w mojej mocy, o ile nie będę musiał myć chorych małpisonów. Przekazałem też innym zwierzętom, że mają przyjść i pomóc. Lamparty będą tu lada chwila... O, a przy okazji, mamy w domu chore lwiątko. Nie sądzę, żeby dolegało mu coś poważnego. Ale moja żona się niepokoi. Wpadnij, żeby rzucić na nie okiem, jeśli będziesz wieczorem w okolicy, dobrze?

Doktor był zachwycony. Z pomocą przyszły mu lwy i lamparty, antylopy, żyrafy i zebry, wszystkie zwierzęta z lasów, gór i równin. Było ich tak wiele, że część odesłał do domu i zostawił sobie tylko te najbystrzejsze.

Wkrótce małpy zaczęły wracać do zdrowia. Pod koniec tygodnia wielki dom pełen łóżek

był już w połowie pusty. A tydzień później opuścił go ostatni pacjent.

Praca Doktora dobiegła końca. Był tak zmęczony, że położył się do łóżka i spał przez trzy dni, nie przewracając się nawet na drugi bok.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. NARADA MAŁP

Czi-Czi stała przy drzwiach pokoju Doktora i pilnowała, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Kiedy już się obudził, obwieścił małpom, że musi wracać do Puddleby.

Były w szoku. Sądziły, że Doktor zostanie z nimi już na zawsze. Tego wieczora wszystkie zebrały się w dżungli, żeby omówić sytuację.

W pewnym momencie wstał wódz szympanców.

— Czemu dobry człowiek odjeżdża? — zapytał. — Czy nie jest tu z nami szczęśliwy?

Nikt nie umiał mu odpowiedzieć.

Potem wstał i przemówił szef goryli.

— Myślę, że powinniśmy pójść i poprosić go, żeby został. Może się zgodzi, jeśli zbudujemy mu nowy dom i większe łóżko i obiecamy mnóstwo małpich służących do pomocy.

Potem wstała Czi-Czi. Pozostałe małpy zaczęły szeptać:

— Ćśś! Uwaga! Teraz głos zabierze słynna podróżniczka!

Czi-Czi powiedziała zebrany:

— Przyjaciele, obawiam się, że nie ma sensu prosić Doktora, żeby został. Jest winny sporo pieniędzy mieszkańcom Puddleby. Uważa, że musi wrócić, żeby spłacić długi.

— A co to takiego pieniądze? — pytały małpy.

Czi-Czi wyjaśniła im, że w Krainie Białych Ludzi bez pieniędzy nie można nic dostać ani zrobić. Że właściwie nie da się bez nich żyć.

— Nawet jeść i pić nie można za darmo? — spytała któraś z małp.

Czi-Czi potrząsnęła głową. Potem przyznała, że — gdy jej właścicielem był katarzyniarz — sama musiała prosić dzieci o pieniądze.

Wtedy wódz szympansów spojrział na władcę orangutanów i powiedział:

— Kuzynie, ci ludzie to naprawdę dziwne stworzenia! Kto chciałby mieszkać w ich krainie? Wielkie nieba, co za bzdury!

Potem Czi-Czi powiedziała:

— Kiedy chcieliśmy do was przy płynąć, okazało się, że nie mamy ani łodzi, ani pieniędzy, żeby kupić prowiant na podróż. Więc pewien sklepikarz dał nam suchary i powiedział, że możemy zapłacić po powrocie. Nasz statek, który pożyczaliśmy ostatecznie od pewnego marynarza, niestety rozbił się u wybrzeży Afryki. Teraz Doktor mówi, że musi odkupić marynarzowi łódź... bo jeśli tego nie zrobi, biedak zostanie bez grosza przy duszy.

Małpy długo milczały. Siedziały nieruchomo, rozmyślając.

Nareszcie wstał przywódca pawianów.

— Myślę, że nie możemy pozwolić, żeby ten dobry człowiek opuścił nasze ziemie, póki nie otrzyma od nas naprawdę wspaniałego daru. Musi wiedzieć, jak bardzo jesteśmy wdzięczni za wszystko, co dla nas zrobił!

Mała ruda małpka, która siedziała wysoko na drzewie, zawołała:

— Ja też tak myślę!

A potem wszystkie wrzasnęły naraz, aż zrobił się straszny hałas.

— Tak, tak! Przygotujmy prezent, jakiego nie dostał jeszcze nigdy żaden biały człowiek!

Po czym zaczęły się zastanawiać, co konkretnie dadzą Doktorowi.

— Pięćdziesiąt toreb kokosów! — rzuciła jedna.

— Sto kiści bananów! — dodała druga. — Przynajmniej nie będzie musiał kupować owoców w Krainie, Gdzie Jedzą Ci, Co Płacą!

Ale Czi-Czi powiedziała im, że to wszystko za ciężkie. Że tylu owoców nie da się zabrać w podróż, a połowa i tak się zepsuje, zanim Doktor zdąży je zjeść.

— Jeśli chcecie go uszczęśliwić, sprezentujcie mu jakieś zwierzę — powiedziała. — Na pewno będzie o nie dbał. Podarujcie mu rzadki okaz! Taki, jakiego nie ma w żadnym zoo.

— A co to zoo? — spytały małpy.

Więc Czi-Czi wyjaśniła, że zoo to miejsca w Krainie Białych Ludzi, gdzie zwierzęta trzyma się w klatkach, żeby odwiedzający mogli je oglądać. Małpy były w wielkim szoku. Zaczęły do siebie szeptać:

— Ludzie przypominają bezmyślne dzieci. Durne prostaki! Nie do wiary! Przecież zoo brzmi jak zwykłe więzienie!

Potem zapytały Czi-Czi, jakie rzadkie zwierzę, którego nie znają biali ludzie, mogłyby sprezentować Doktorowi.

— Mają tam u siebie iguany? — zapytał burmistrz marmozet²⁹.

Ale Czi-Czi odparła:

— Tak, jest nawet jedna w londyńskim zoo.

²⁹*marmozety* — kilka gatunków niewielkich małp szerokonosych zaliczanych do podrodziny pazurkowców. [przypis edytorski]

— A okapi? — spytała inna małpa.

— Też — powiedziała Czi-Czi. — W Belgii, gdzie zabrał mnie pięć lat temu mój kataryniarz, widziałam okapi w dużym mieście o nazwie Antwerpia.

— A dwugłowca mają? — spytała kolejna małpa.

— Nie — odparła wtedy Czi-Czi. — Nie, żaden biały człowiek nigdy nie widział dwugłowca. Możemy dać go Doktorowi.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. NAJRZADSZE ZWIERZĘ ŚWIATA

Dwugłowce wyginęły. To znaczy, że już ich nie ma. Ale dawno temu, w czasach Doktora Dolittle'a, w najgłębszych dżunglach Afryki żyło ich jeszcze kilka, choć już wtedy były bardzo, bardzo rzadkie. Nie miały ogona — ich ciała były z obu stron zakończone głowami, a z każdej głowy wyrastały ostre rogi. Były strachliwe, więc schwytanie ich graniczyło z cudem. Podczas polowania Afrykańczycy nie mogli za-

kradać się do nich od tyłu, tak jak robili to w przypadku innych zwierząt, bo — żeby nie wiem, z której strony podejść — dwugłowce zawsze były ustawione pyskiem do myśliwych. Poza tym, kiedy dany dwugłowiec spał, spała tak naprawdę tylko jedna z jego połówek. Druga pozostawała czujna. Dlatego, choć najwięksi myśliwi i najsprytniejsi kolekcjonerzy przez długie lata przeczesywali dżungle całego globu, nigdy nie udało im się schwytać i wsadzić do zoo nawet jednego dwugłowca.

Już w czasach Doktora, a więc wiele, wiele lat temu, nie było na świecie innych dwugłowych zwierząt.

Małpy ruszyły do lasu na łowy. Po długiej wędrówce jedna z nich dostrzegła nietypowe ślady nad brzegiem rzeki. Nie było wątpliwości, że w okolicy musi być dwugłowiec.

Małpy ruszyły wzdłuż rzeki, aż dotarły do poletka gęstej, wysokiej trawy. Uznały, że dwugłowiec na pewno ukrył się właśnie tam.

Złapały się więc za ręce i utworzyły krąg wokół kępy roślinności. Dwugłowiec usłyszał,

że się zbliżają. Z całych sił spróbował przedrzeć się przez pierścień mały, ale nie dał rady. Kiedy zrozumiał, że nie ucieknie, usiadł i czekał, aż powiedzą mu, czego chcą.

Zapytały, czy zgodzi się wyruszyć z Doktorem Dolittle'em i zostać atrakcją w Krainie Białych Ludzi.

Ale dwugłowiec potrząsnął jednocześnie obiema głowami i powiedział:

— Nie ma mowy!

Mały wyjaśniły mu, że nie zostanie zamknięty w klatce, że ludzie po prostu będą na niego patrzeć. Powiedziały, że Doktor to bardzo dobry człowiek, ale że brakuje mu pieniędzy. Gdyby miał dwugłowe zwierzę, inni płaciliby mu, żeby móc je oglądać. Stałby się bogaty i mógłby zapłacić za łódź, którą pożyczył, żeby przybyć do Afryki.

Ale dwugłowiec odpowiedział:

— Nie. Wiecie, jaki jestem nieśmiały. Nie nawidzę, gdy ktoś się na mnie gapi.

Brzmiał przy tym, jakby miał zaraz się rozpłakać.

Przez kolejne trzy dni małpy prosiły go, żeby zmienił zdanie. Pod koniec trzeciego powiedział, że najpierw musi spotkać Doktora i przekonać się, jaki to człowiek.

Więc małpy zabrały go ze sobą. Kiedy dotarły do małego domku z trawy, gdzie mieszkał Doktor, zapukały do drzwi.

Kaczka oderwała się od upychania ubrań w kufrze i zawołała:

— Proszę!

Czi-Czi z dumą wprowadziła nowe zwierzę do środka i pokazała je Doktorowi.

— Co to, u licha, jest? — spytał John Dolittle, wpatrzony w dziwne stworzenie.

— Ratuj nas, Panie! — zawołała kaczka. — Która z tych głów umie myśleć?

— Stawiam, że żadna — odparł pies Dżip.

— Doktorze — powiedziała Czi-Czi. — To jest dwugłowiec, najrzadsze zwierzę w afrykańskiej dżungli, jedyna istota o dwóch głowach na całym świecie! Zabierz go do domu, a będziesz ustawiony. Ludzie zapłacą fortunę, żeby go zobaczyć.

— Kiedy ja nie chcę pieniędzy — powiedział Doktor.

— Owszem, chcesz — wtrąciła się kaczka Dab-Dab. — Zapomniałeś już, że ledwo udało nam się spłacić rzeźnika w Puddleby? I niby jak zamierzasz zdobyć nową łódź dla marynarza, jeśli nie będziesz miał na nią pieniędzy?

— Chciałem sam ją zbudować — oznajmił Doktor.

— Gadaj z sensem! — zawołała Dab-Dab. — Skąd wzięłbyś potrzebne drewno i gwoździe? Poza tym, z czego będziemy żyli? Kiedy wrócimy, zaczniemy klepać biedę jak jeszcze nigdy dotąd! Czi-Czi ma absolutną rację: musisz wziąć ze sobą tego cudaka!

— Cóż, być może jest w tym trochę sensu — mruknął Doktor. — Na pewno miło byłoby mieć nowego towarzysza. Ale czy... no, czy to coś naprawdę chce opuścić swój dom?

— Tak, pojedę z tobą — powiedział dwugłowiec, który, gdy tylko zobaczył twarz Doktora, zrozumiał, że może mu zaufać. — Zrobiłeś dla tutejszych zwierząt bardzo wiele do-

brego... a małpy mówią, że tylko ja jeden się nadaję. Ale musisz mi obiecać, że jeśli Kra-
ina Białych Ludzi nie przypadnie mi do gustu,
odeślesz mnie z powrotem.

— Cóż, oczywiście, bez dwóch zdań —
powiedział Doktor. — Przepraszam, ale czy nie
jesteś może odległym krewniakiem jeleniowa-
tych?

— Owszem — rzekł dwugłowiec. — Od
strony matki jestem spokrewniony z abisyń-
skimi gazelami i kozicami azjatyckimi. A mo-
im prapradziadkiem od strony ojca był ostatni
jednorożec na świecie.

— Bardzo ciekawe! — mruknął Doktor
i wyciągnął z kufra książkę, którą przed chwilą
spakowała Dab-Dab.

Zaczął przerzucać kartki.

— Zobaczmy, czy Buffon³⁰ coś o tobie pi-
sze...

³⁰Buffon, właśc. *Georges-Louis Leclerc, Comte de Buffon* (1707–1788) — fran-
cuski przyrodnik, autor (wraz z dwoma innymi badaczami, Daubentonem i La-
cépède'em) liczącego 44 tomy dzieła *Historia naturalna, generalna i szczegółowa*
(oryg. *Histoire naturelle, générale et particulière*) wydawanej przez wiele lat (1749–
1788) i omawiającego fizyczne i psychiczne właściwości zwierząt. [przypis edytor-
ski]

— Zauważyłam, że odzywa się zawsze tylko jedna z twoich głów — powiedziała kaczka. — Czy druga też to potrafi?

— Owszem — odparł dwugłowiec. — Ale zwykle używam jej do jedzenia. W ten sposób mogę jeść i mówić jednocześnie, nie wykazując się przy tym brakiem manier. Członkowie mojej rodziny są bardzo kulturalni.

Kiedy bagaże zostały już spakowane i wszyscy byli gotowi do drogi, małpy wyprawiły na cześć Doktora huczne przyjęcie. Przybyły na nie wszystkie zwierzęta z całej dżungli. Serwowano ananasy, owoce mango, miód i mnóstwo innych smakołyków do jedzenia i picia.

Kiedy skończyli ucztować, Doktor wstał i powiedział:

— Przyjaciele! Zjadłem właśnie całe mnóstwo orzechów z miodem, a nie umiem, jak niektórzy, wygłaszać po posiłku długich przemówień. Chcę tylko powiedzieć, że opuszczam waszą krainę z największym żalem. Muszę jechać, bo w domu czekają na mnie obowiązki. Ale pod moją nieobecność pamiętajcie, że-

by przeganiać muchy, które usiądą na waszym jedzeniu. A w porze deszczowej nie sypiajcie na ziemi. Ja... no, eee... mam nadzieję, że będziecie żyli długo i szczęśliwie.

Kiedy Doktor umilkł i usiadł, małpy zaczęły klaskać. Mówiły jedna do drugiej:

— Nigdy nie zapomnimy, że siedział właśnie tu, pod drzewem, i że jadł razem z nami, bo to bez wątpienia najwspanialszy z ludzi!

Potem szef goryli, który miał we włochatych łapskach siłę siedmiu koni, podtoczył do stołu wielki kamień i powiedział:

— Odłamek skały na zawsze uwieczni to wydarzenie.

I kamień rzeczywiście leży w samym sercu dżungli po dziś dzień. A małpie matki, które podróżują z rodzinami przez las, nadal wskazują na niego z koron drzew i szepczą dzieciom:

— Patrzcie! To właśnie tam Dobry Biały Człowiek siedział i ucztował z nami w Roku Wielkiej Zarazy!

Później, gdy przyjęcie dobiegło końca, Doktor wyruszył wraz ze zwierzętami z powrotem

na wybrzeże. A małpy odprowadziły go aż do granic swojego królestwa, niosąc wszystkie jego bagaże.

ROZDZIAŁ JEDENASTY. CZARNY KSIĄŻĘ

Gdy dotarli do rzeki, przystanęli, żeby się pożegnać.

Długo to trwało, bo każda z tysięcy małp chciała uścisnąć dłoń Johna Dolittle'a.

Później, kiedy Doktor był już sam ze swymi zwierzętami, odezwała się Polinezja.

— W królestwie Jolliginki musimy być cicho i rozmawiać tylko szeptem. Jeśli król nas usłyszy, znów wyśle żołnierzy, żeby nas pojмали. Z pewnością wciąż bardzo się gniewa za to, że wystrychnęłam go na dudka.

— Zastanawiam się — powiedział Doktor — skąd wytrzaśniemy nową łódź, na której popłyniemy do domu. Cóż, być może znajdziemy na plaży taką, której akurat nikt nie używa. Nie ma sensu martwić się na zapas.

Pewnego dnia, kiedy przedzierali się przez gęsty zagajnik, Czi-Czi pobiegła przodem, żeby poszukać kokosów. Kiedy jej nie było, Doktor i pozostałe zwierzęta, które nie znały zbyt dobrze leśnych ścieżek, zgubili się w dżungli. Chodzili w kółko i nie mogli odszukać drogi na wybrzeże.

Gdy Czi-Czi zorientowała się, że nigdzie ich nie widzi, bardzo się zmartwiła. Zaczęła wspinać się na szczyty drzew, skąd wypatrywała cylindra Doktora. Krzyczała, machała, wołała zwierzęta po imieniu. Ale wszystko to na nic, zupełnie jakby cała wyprawa rozplynęła się w powietrzu.

Doktor i zwierzęta byli całkiem zagubieni. Odeszli daleko od ścieżki. Otaczała ich taka gęstwina pnączy i winorośli, że czasem ledwie mogli się ruszyć, Doktor musiał więc wycinać im ścieżkę nożem. Wpadli w wodę na bagnach, zaplątali się w powoje, podrapały ich kolczaste rośliny, a dwa razy niemal zgubili w pod-

szyciu³¹ torbę z lekami. Mieli wrażenie, że ich problemy nigdy się nie skończą, a nigdzie wokół wciąż nie widzieli ścieżki.

Nareszcie, po wielu dniach tułaczki, gdy ich ubrania były już porwane, a twarze pokryte błotem, wyszli spomiędzy drzew i trafili zupełnym przypadkiem prosto do ogrodu króla. Jego ludzie natychmiast przybiegli, żeby ich złapać.

Ale nikt nie zauważył, jak Polinezja podfrunęła na jedno z ogrodowych drzew i ukryła się wśród liści. Doktor wraz z pozostałymi zwierzętami trafił prosto przed oblicze króla.

— Ha, ha! — zawołał król. — A więc znów was capnąłem! Tym razem nie uciekniecie. Zabrać ich z powrotem do więzienia i sprawdzić zamki w drzwiach! Ten biały człowiek będzie do końca życia szorować podłogi w mojej kuchni!

Tak więc Doktora i jego zwierzęta odprowadzono z powrotem do celi, którą następnie

³¹*podszycie* — warstwa roślinności w lesie dochodząca do kilku metrów, składająca się z krzewów oraz młodych i karłowatych drzew. [przypis edytorski]

zamknięto na klucz. Doktorowi powiedziano, że od rana ma szorować podłogi.

Wszyscy czuli się bardzo przybici.

— Zupełnie mi to nie w smak — stwierdził Doktor. — Naprawdę muszę już wracać do Puddleby. Inaczej tamten biedny marynarz pomyśli, że ukradłem jego łajbę³²! Ciekawe, czy zawiasy da się poluzować...

Ale drzwi były solidne i zamknięte na cztery spusty. Wydawało się, że nie ma szans na ucieczkę. Gub-Gub znów zaczął pochlipywać.

Przez cały ten czas Polinezja siedziała na drzewie w pałacowym ogrodzie, od czasu do czasu mrugając. Milczała.

W jej przypadku był to bardzo zły znak. Kiedy siedziała tak w ciszy i mrugała, znaczyło to, że ktoś narobił jej kłopotów i zastanawia się właśnie, jak wszystko odkręcić. Ludzie, którzy sprawiali problemy Polinezji lub jej przyjaciołom, zwykle później tego żalowali.

Nagle jej wzrok przyciągnęła Czi-Czi, która skakała z gałęzi na gałąź, nadal szukając Dok-

³²łajba (pot.) — łódź, statek. [przypis edytorski]

tora. Kiedy Czi-Czi zobaczyła Polinezję, wspięła się na jej drzewo i zapytała, co się stało.

— Ludzie króla porwali Doktora i pozostałe zwierzęta. Znów wtrącili wszystkich do celi więziennej — szepnęła Polinezja. — Zgubiliśmy się w dżungli i przez pomyłkę trafiliśmy właśnie tu.

— Naprawdę nie mogłaś wskazać Doktorowi właściwej drogi, kiedy poszłam po kokosy? — spytała Czi-Czi i zaczęła wyrzucać papudze, że pozwoliła wszystkim się zgubić.

— To wina głupiego prosiaka! — rzekła Polinezja. — Wciąż zbaczał ze ścieżki i odbiegał, żeby szukać korzeni imbiru. Musiałam za nim latać i sprowadzać go z powrotem, aż w końcu się zagapiłam i skręciłam w lewo zamiast w prawo na krawędzi bagniska... Ćśś! Spójrz! Do ogrodu wyszedł książę Bumpo! Nie może nas zobaczyć. Nie ruszaj się, żeby nie wiem co!

I rzeczywiście: książę Bumpo, syn króla, otwierał właśnie bramę ogrodową. Miał pod ramieniem książkę z baśniami. Ruszył po zwi-

rowej ścieżce, nucąc pod nosem smutną melodię, aż dotarł do kamiennej ławy tuż pod drzewem, na którym przycupnęły papuga i małpka. Położył się wygodnie i zaczął czytać.

Czi-Czi i Polinezja obserwowały go w ciszy i bezruchu.

Po pewnym czasie syn króla odłożył książkę i westchnął ze smutkiem.

— Ach, gdybym tylko był białym księciem! — rzucił, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń.

Wtedy papuga odezwała się wysokim, piśkliwym głosem małej dziewczynki.

— Wiedz, Bumpo, iż jest na tym świecie ktoś, kto potrafi przemienić cię w białego księcia!

Książę poderwał się na nogi i rozejrzał.

— Cóż ja słyszę? — zawołał. — Zdało mi się, że to głos wróżki, słodki jak muzyka, rozległ się gdzieś nieopodal. Co za dziwy!

— Dzielny książę — rzekła Polinezja, która nadal siedziała nieruchomo, żeby Bumpo jej nie zauważył. — Słowa twe niosą treść prawdziwą! Przemawia do ciebie bowiem nie kto in-

ny, jak właśnie ja, Tripsitinka, Królowa Wrózek! A ukrywam się w pąku róży!

— Powiedźże zatem, Królowo Wrózek — zawołał Bumpo, klaszcząc w dłonie z radości. — Któż to taki potrafi uczynić mnie białym?

— W więzieniu ojca twego — rzekła papuga — zamknięty jest słynny czarodziej, zwany John Dolittle. Wiedza jego na temat czarów i lekarstw jest niezmiernie wielka i wielu dokonał cudów. Jednakże ojciec twój skazał go na długie osamotnienie. Udaj się doń, dzielny Bumpo, w tajemnicy, gdy zajdzie słońce. Ani się obejrzyysz, a uczyni cię najbielszym z księżąt, tak że będziesz mógł starać się o rękę każdej białogłowy³³! No, dosyć już powiedziałam. Czas mi wracać do krainy wrózek. Żegnaj!

— Żegnaj! — zawołał Książę. — Tysiąc-krotnie dziękuję, dobra Tripsitinko!

A potem znów usiadł na kamiennej ławie z uśmiechem na ustach i czekał, aż zajdzie słońce.

³³*białogłowa* (daw.) — kobieta. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ DWUNASTY. MAGIA I MEDYCYNA

Bardzo, bardzo cicho, uważając, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi, Polinezja ześlizgnęła się z gałęzi i poleciała w stronę więzienia.

Gdy tam dotarła, zobaczyła prosiaczka Gub-Gub, który wystawił ryjek przez kraty w oknie i wdychał zapachy potraw dochodzące z pałacowej kuchni. Polinezja kazała mu zawołać Doktora, bo chciała z nim pomówić. Więc Gub-Gub obudził Doktora, który właśnie drzemał.

— Słuchaj — szepnęła papuga, kiedy miała już przed sobą Johna Dolittle'a. — W nocy odwiedzi cię książę Bumpo. Musimy znaleźć sposób, żeby wybielić mu skórę. Ale najpierw niech ci obieca, że otworzy drzwi do celi i znajdzie statek, który przewiezie nas przez morze.

— Brzmi to dobrze — przyznał Doktor — ale zmienić czarnego człowieka w białego to nie lada sztuka. Mówisz, jakby chodziło o barwienie sukienki. A to skomplikowana sprawa. Coś jakby tygrys miał mieć cętki zamiast pasów...

— Nie znam się na tym — burknęła niecierpliwie Polinezja. — Ale za wszelką cenę musisz go wybielić. Wymyśl coś. Postaraj się. W torbie zostało ci jeszcze dużo różnych specyfików. Książę zrobi wszystko, żeby jego skóra zmieniła kolor. Inaczej zostaniesz za kratkami na zawsze!

— Cóż, być może rzeczywiście jest to możliwe — stwierdził Doktor. — Niech pomyślę.

Przeszukał swoją torbę z lekami, mamrocząc pod nosem: „...związki chloru na pigmentcie zwierzęcym... może z dodatkiem maści cynkowej, żeby osiągnąć tymczasowy efekt, wszystko razem nałożone na skórę... grubą warstwą...”

Tej nocy książę Bumpo rzeczywiście przyszedł potajemnie do Doktora.

— Biały człowieku — powiedział. — Jestem nieszczęśliwym księciem. Wiele lat temu wyruszyłem na poszukiwania śpiącej królewny, której historię znałem z bajki. Podróżowałem po świecie przez wiele dni, a kiedy ją wreszcie odnalazłem, złożyłem na jej ustach delikatny pocałunek, żeby się obudziła, tak jak napisano

w książce. Zaiste: obudziła się. Potem ujrzała jednak moją twarz i wrzasnęła: „Och, on jest czarny!” Zamiast wyjść za mnie za mąż, uciekła i znów położyła się spać, tyle że nieco dalej. Więc wróciłem, przybity, do królestwa mojego ojca. A teraz doszły mnie wieści, że jesteś wielkim czarodziejem i posiadasz wiele cudownych eliksirów. Więc postanowiłem poprosić cię o pomoc. Jeśli sprawisz, że stanę się biały i będę mógł wrócić do śpiącej królowej, oddam ci połowę królestwa i wszystko inne, czego tylko zapragniesz³⁴.

— Drogi książę — zaczął Doktor, z zamyśloną miną przyglądając się buteleczkom w torbie z lekarstwami. — A co, gdybym przefarbował twoje włosy na piękny, jasny blond? Czy to cię nie uszczęśliwi?

³⁴*Jeśli sprawisz, że stanę się biały (...) oddam ci połowę królestwa i wszystko inne, czego tylko zapragniesz* — W dawnych czasach, w których toczy się akcja książki o przygodach Doktora Dolittle, szerzono przekonanie, że jasna skóra jest ładniejsza i szlachetniejsza niż ciemna. Więcej nawet: że kwestia ta decyduje o wartości człowieka w ogóle. Dziś wydaje się to tak niemądre, że aż trudne do pojęcia. Jednakże pogląd ten, kiedyś bardzo rozpowszechniony, przysporzył wiele niezawinionych cierpień i niepotrzebnych, ciężkich zmartwień ogromnej liczbie ludzi na całym świecie. Książę Bumpo jest jedną z jego ofiar. [przypis edytorski]

— Nie — odparł Bumpo. — Muszę stać się białym księciem. Nic innego nie wystarczy.

— Bardzo ciężko jest zmienić kolor księcia — powiedział Doktor. — To jedna z najtrudniejszych magicznych sztuk. Chcesz, żeby biała stała się tylko twoja twarz, prawda?

— Tak, to wszystko — rzekł Bumpo. — Będę bowiem nosił lśniąca zbroję i stalowe rękawice, jak inni książęta. I będę jeździł na koniu.

— A czy chodzi o całą twarz? — spytał Doktor. — Calutką?

— Zgadza się. Chciałbym mieć też niebieskie oczy, ale podejrzewam, że to bardzo trudne.

— Zdecydowanie! — zgodził się szybko Doktor. — Cóż, zrobię dla ciebie, co w mojej mocy. Będziesz jednak musiał wykazać się cierpliwością. Pewne specyfiki nie zawsze działają tak samo. Niewykluczone, że będę musiał próbować dwa lub trzy razy. Masz grubą skórę, tak? Doskonale. Podejdź tu, do światła... Jeszcze jedno! Zanim cokolwiek zrobię, mu-

sisz najpierw udać się na plażę, przygotować dla mnie statek i zaopatrzyć go w prowiant, który wystarczy na długą podróż. Nie piśnij o tym nikomu ani słówka. A kiedy już uczynię to, o co prosisz, wypuścisz mnie i moje zwierzęta z więzienia. Przysięgnij na koronę Jolliginki!

Książę przysięgł i poszedł na wybrzeże, by zająć się statkiem.

Kiedy wrócił i powiedział, że wszystko gotowe, Doktor poprosił Dab-Dab, żeby przyniosła mu misę. Wlał do środka mnóstwo lekarstw, aż się wymieszały, a potem kazał księciu zanurzyć w nich twarz.

Książę pochylił się i włożył twarz do misy — aż po same uszy.

Trzymał ją tam przez dłuższy czas — tak długo, że Doktor zaczął się niepokoić: przestępował z nogi na nogę i raz po raz czytał etykiety na buteleczkach, których zawartość wymieszał. Celę wypełnił gryzący zapach płonącej tektury.

Nareszcie książę wyciągnął głowę z misy i odetchnął głęboko. Zwierzęta wydały z siebie okrzyk zdziwienia.

Twarz księcia stała się bowiem śnieżnobiała, a jego oczy — dotychczas brązowe jak glina — były teraz szare i szlachetne.

Kiedy John Dolittle podał mu małe lusterko, żeby mógł się przejrzeć, książę zaśpiewał radosną pieśń i zaczął tańczyć po celi. Ale Doktor polecił mu tak nie hałasować, tylko otworzyć drzwi, po czym szybko zatrzasnął torbę z lekarskami.

Bumpo błagał, żeby Doktor zostawił mu lusterko, bo takiego nie miał nikt inny w całym królestwie Jolliginki, a on chciał przyglądać się sobie przez całe dni. Ale Doktor powiedział, że potrzebuje lusterka do golenia.

Książę wyciągnął z kieszeni pęk miedzianych kluczy i otworzył wielki, podwójny zamek w drzwiach. Doktor i jego zwierzęta pognali na wybrzeże ile sił w nogach. A Bumpo oparł się o ścianę w pustym lochu i posłał im uśmiech na pożegnanie. Jego okrągła twarz połyskiwała w świetle księżycy niczym kość słoniowa.

Kiedy uciekinierzy dotarli na plażę, na skałach przy statku czekały już na nich Polinezja i Czi-Czi.

— Żal mi księcia Bumpo — powiedział Doktor. — Boję się, że lekarstwa, których użyłem, w końcu przestaną działać. Sądzę, że jutro rano, po przebudzeniu, będzie tak samo czarny jak wcześniej. Właśnie dlatego nie zostawiłem mu lusterka. Z drugiej strony możliwe, że zostanie biały na dobre... Kto to wie! Nigdy nie używałem dotąd podobnej mikstury! Szczerze mówiąc, sam byłem w szoku, że zadziałała. Coś przecież musiałem zrobić, prawda? Nie mogłem przez resztę życia szorować królewskich kuchni. Były ohydnie brudne! Widziałem to nawet z okna naszej celi! Ale cóż... i tak żal mi Bumpa!

— Na pewno domyśli się, że to były tylko takie żarty — powiedziała papuga.

— Nie mieli prawa nas zamykać — dodała Dab-Dab, trzęsąc ze złością kuperkiem. — Przecież nie zrobiliśmy im żadnej krzywdy. Bę-

dzie miał za swoje, jeśli znów stanie się czarny. Oby był ciemny jak noc!

— Przecież on nie miał z naszym uwięzieniem nic wspólnego — powiedział Doktor. — Zamknął nas król, jego ojciec. Bumpo jest tu niewinny. Zastanawiam się, czy nie powinienem wrócić i go przeprosić. No cóż. Wyślę mu trochę słodyczy, kiedy już dotrzemy do Puddleby. A poza tym, kto wie... może jednak zostanie biały już na zawsze.

— Śpiąca królewna i tak go nie zechce — stwierdziła Dab-Dab. — Moim zdaniem lepiej wyglądał wcześniej. Zawsze będzie brzydki, niezależnie od koloru skóry.

— Ale serce ma dobre — powiedział Doktor. — Romantyk z niego. Romantyk o złotym sercu. Bądź co bądź liczy się wewnątrz.

— Wątpię, czy ten głuptas naprawdę znalazł śpiącą królewnę — stwierdził pies Dżip. — Raczej grubą wieśniaczkę, która akurat kimnęła³⁵ pod jabłonką. Nic dziwnego, że się przera-

³⁵kimnąć — zdrzemnąć się. [przypis edytorski]

ziła! Ciekawe, kogo pocałuje tym razem. Co za bzdury!

Potem dwugłowiec, biała myszka, Gub-Gub, Dab-Dab, Dżip i sowa Tu-Tu wdrapali się na łódź razem z Doktorem. Jednak Czi-Czi, Polinezja i krokodyl zostali na brzegu, bo ich prawdziwym domem była Afryka — miejsce, gdzie przyszli na świat.

Kiedy Doktor stanął na pokładzie, zaraz spojrzął na bezmiar wody. A potem przypomniał sobie, że nie został z nim nikt, kto wiedziałby, jak wrócić do Puddleby.

Szerokie, wzburzone morze wyglądało groźnie w świetle księżyca. Doktor zmartwił się, że zmylą drogę, gdy tylko zniknie im z oczu wybrzeże.

Ale kiedy tak stał i myślał, z góry — od strony nocnego nieba — doszedł go nagle dziwny furkot. Zwierzęta przestały się ze sobą żegnać i też nadstawiły uszu.

Furkot narastał z każdą chwilą. Przypominał szum topoli na jesiennym wietrze albo stukot ulewy o dachówki.

Nagle Dżip, który stał z uniesionym nosem i wyprężonym ogonem, zawołał:

— Ptaki! Całe mrowie! Lecą bardzo szybko! Stąd ten hałas!

Wszyscy podnieśli głowy. I rzeczywiście, na tle księżyca widać było tysiące ptaków, które wydawały się maleńkie jak mrówki. Wkrótce przesłoniły całe niebo, a wciąż leciało ich więcej! Gdy zasłoniły księżyc, morze zrobiło się czarne jak podczas burzy.

Następnie ptaki zniżyły lot i zaczęły przemykać tuż nad wodą. Nocne niebo opustoszało, a księżyc znów rozbłysnął. Nie było przy tym słyhać ani ćwierknięcia czy pisku. Wokół niósł się tylko znajomy szum, jeszcze głośniejszy niż wcześniej. Kiedy ptaki zaczęły sadować się na piasku, skałach i olinowaniu statku — wszędzie, z wyjątkiem gałęzi drzew — Doktor dostrzegł, że mają niebieskie skrzydła, białe brzuszki i króciutkie, opierzone nogi. Kiedy wszystkie znalazły już dla siebie miejsce, zniechęciły i nagle zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

— Nie miałem pojęcia, że jesteśmy w Afryce już od tak dawna — powiedział John Dolittle, skąpany w księżycowym blasku. — Kiedy wrócimy, będzie już prawie lato. Otaczają nas jaskółki, które właśnie ruszają do domu. Dziękuję im z całego serca, że na nas czekały. To bardzo uprzejme. Z nimi na pewno nie zgubimy się na otwartym morzu. Podnieść kotwicę i postawić żagle!

Kiedy statek sunął już po falach, tym, którzy zostali na plaży — Czi-Czi, Polinezji i krokodylowi — zrobiło się okropnie smutno. Bo nigdy w życiu nie znali nikogo, kogo polubiły tak bardzo jak Doktora Johna Dolittle'a z Puddleby.

Zawołali „Do widzenia!” raz, drugi i trzeci, a potem dalej stali na skałach, wylewali serdeczne łzy i machali na pożegnanie, aż statek zniknął im z pola widzenia.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY. CZERWONE ŻAGLE, BŁĘKITNE SKRZYDŁA

W drodze powrotnej statek Doktora musiał opłynąć wybrzeże Berberii. To dzikie, odludne miejsce — nic tylko piach i kamienie. Zamieszkiwali je berberyjscy piraci.

Była to banda rzezimieszków³⁶, którzy czekali tylko, aż przepływające obok okręty roztrzaskają się o skały wybrzeża. Często też, gdy widzieli statek, rzucali się do swoich szybkich łodzi i ruszali w pogoń. Jeśli udało im się schwycić kogoś na otwartym morzu, natychmiast go okradali i brali do niewoli, a jego okręt posyłali na dno. Następnie wracali do Berberii, śpiewając wesołe pieśni, niezwykle z siebie dumni, że tak bardzo uprzykrzyli komuś życie. Swoim więźniom kazali pisać do krewnych listy z żądaniem okupu. Jeśli krewni nie wysyłali pieniędzy, piraci często rzucali pojmanych do morza.

³⁶rzezimieszek — złodziej, rabuś. [przypis edytorski]

A teraz, pewnego słonecznego dnia, Doktor i Dab-Dab przechadzali się właśnie po pokładzie, żeby rozprostować nogi. Wiał miły, ożywczy wiatr i wszyscy byli zadowoleni. Niepoczucie Dab-Dab zobaczyła daleko za ich statkiem inny żagiel. Czerwony.

— Mam złe przeczucia — powiedziała Dab-Dab. — To chyba nie jest przyjazny statek. Będą z tego nowe kłopoty.

Dżip, który drzemał na słońcu, nagle zaczął warczeć przez sen.

— Czuję pieczeń wołową — wymruczał. — Niedopieczone mięso... zalane brązowym sosem.

— Wielkie nieba! — zakrzyknął Doktor. — Co ten pies wyrabia? Nie dość, że gada, to jeszcze węszy przez sen?

— Na to wychodzi — powiedziała Dab-Dab. — Wszystkie psy to potrafią.

— Ale co on właściwie czuje? — spytał Doktor. — Przecież nie pieczemy wołowiny.

— Nie — przyznała Dab-Dab. — Zapach musi dochodzić ze statku z czerwonym żaglem.

— Jest piętnaście kilometrów za nami — zauważył Doktor. — Pies nie wywąchałby nic z takiej odległości.

— Wywąchałby — powiedziała Dab-Dab. — Sam go o to zapytaj.

Wtedy Dżip, który nadal spał, zaczął warczeć, aż jego warga uniosła się, odsłaniając rząd czystych, białych zębów.

— Czuję złych ludzi — warknął. — Najgorszych, jakich kiedykolwiek zwęszyłem. Czuję nosem kłopoty. Czuję, że będzie bitka. Sześciu łajdaków na jednego bohatera. Chcę mu pomóc. Hau, hau, HAU! — Szczeknął tak głośno, że aż sam się obudził. Rozejrzał się, zaskoczony.

— Spójrz! — zawołała Dab-Dab. — Tamta łódź jest coraz bliżej. Można policzyć jej żagle. Są trzy, wszystkie czerwone. Nie wiem, kto tam płynie, ale na pewno nas ściga. Ciekawe, kto to.

— Żli marynarze — oznajmił Dżip. — Ich statek jest bardzo prędko. To na pewno piraci berberyjscy.

— Cóż, musimy postawić więcej żagli — stwierdził Doktor. — Wtedy popłyniemy szybciej i zdołamy im uciec. Zbiegnij pod pokład, Dżipie, i przynieś mi wszystkie żagle, jakie tam znajdziesz.

Pies zbiegł po schodach i przywlókł wszystkie dostępne żagle.

Jednak nawet kiedy wciągnięto je na maszty, łódź nadal sunęła o wiele wolniej od statku piratów, który z każdą chwilą zbliżał się coraz bardziej.

— Książę dał nam jakąś starą krypcę — wyrzekał³⁷ prosiaczek Gub-Gub. — Sądzę, że najwolniejszą, jaką tylko miał. Równie dobrze moglibyśmy próbować uciec piratom w wazie do zupy. Patrzcie, jak są blisko! Widać już wąsy na twarzach tych rzezimieszków. Jest ich sześciu! Co robimy?

³⁷wyrzekać na kogoś (daw.) — narzekać na kogoś a. na coś, przedstawiać swe skargi, mówić o kimś (czymś) z niezadowoleniem; biadać, utyskiwać. [przypis edytorski]

Doktor poprosił Dab-Dab, żeby poleciała do jaskółek. Miała im opowiedzieć o piratach i poprosić o radę.

Kiedy jaskółki o wszystkim się dowiedziały, obsiadły pokład wokół Doktora. Polecily mu rozplątać długie liny, żeby zrobić z nich mnóstwo cieniutkich sznurków, które następnie przywiązały do dziobu. Chwyciły je i poleciały, ciągnąc za sobą łódź.

Choć jaskółki w pojedynkę czy w parze nie są zbyt silne, całe stado to już zupełnie inna historia. Do statku Doktora przywiązanych było tymczasem aż tysiąc sznurków, a każdy z nich ciągnęło dwa tysiące ptaków — prawdziwych asów przestworzy.

Nie minęło wiele czasu, a rozwinęły taką prędkość, że Doktor musiał dociskać do głowy kapelusz obydwoma rękami. Czuł, że statek niemal unosi się na falach. Płynął tak szybko, że woda pod nim pieniała się i syczała.

Zwierzęta na pokładzie zaczęły śmiać się i tańczyć z rozwianym futrem, bo kiedy spoglądały w tył, na statek piracki, widziały, że robi

się coraz mniejszy. Czerwone żagle zostały daleko, daleko w tyle.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY. SZCZURZA PRZESTROGA

Niełatwo jest ciągnąć za sobą cały statek. Po dwóch czy trzech godzinach jaskółki zaczęły się męczyć. Dyszały ciężko, bolały je skrzydła. Dały więc znać Doktorowi, że niedługo będą musiały odpocząć. Zamierzały zaciągnąć statek na położoną niedaleko wyspę, żeby ukryć go w głębokiej zatoce, póki trochę nie odsapną i nie będą gotowe ruszyć dalej.

Doktor spojrział na wyspę, o której mówiły. Była bardzo piękna, a na jej środku wznosiła się porośnięta zielenią góra.

Kiedy statek wpłynął już bezpiecznie do zatoki, tak że nie było go widać od strony morza, Doktor powiedział, że chętnie zejdzie na ląd, żeby poszukać wody, bo załodze nie zostało już nic do picia. Poradził zwierzętom, żeby też poszły rozprostować łapy.

Kiedy schodzili na wybrzeże, Doktor zauważył, że dołączyło do nich całe stado szczurów, które wyszły spod pokładu. Dżip zaczął je gonić, bo zawsze uwielbiał łapać gryzonie, ale Doktor kazał mu przestać.

Wielki czarny szczur, który najwyraźniej miał Doktorowi coś do powiedzenia, przydreptał nieśmiało po relingu³⁸, kątem oka przez cały czas obserwując psa. Zakaszłał nerwowo dwa czy trzy razy, oczyścił wąsiki, otarł pyszczek i powiedział:

— Cóż... z pewnością wiesz, Doktorze, że na wszystkich statkach są szczury?

— Owszem — przyznał Doktor.

— A czy słyszałeś, że szczury zawsze uciekają z tonącego okrętu?

— Tak — odpowiedział Doktor. — Obiło mi się o uszy.

— Ludzie zawsze kwitują to szyderczym uśmieszkiem, jakby chodziło o coś, czego na-

³⁸*reling* — ażurowa *bariera* pionowa na statkach służąca do zabezpieczenia wszystkiego, co znajduje się na pokładzie, przed wypadnięciem za burtę; reling zbudowany jest z metalowych a. drewnianych elementów: słupków połączonych rurkami i linami. [przypis edytorski]

leży się wstydzić. A przecież nie sposób mieć do nas pretensji, prawda? Kto chciałby zostać na tonącym okręcie, gdyby mógł z niego uciec?

— Ma to sens — przyznał Doktor. — Ma to sens. Rozumiem, co masz na myśli. Czy... chciałeś mi powiedzieć coś jeszcze?

— Tak — przyznał szczur. — Przyszedłem oznajmić, że opuszczamy ten statek. Postanowiłem cię ostrzec. To zły statek. Niebezpieczny. Burty są za słabe, a deski przegniłe. Nie minie doba, a pójdzie na dno.

— Skąd wiecie? — spytał Doktor.

— Po prostu wiemy — odparł szczur. — Kiedy statek ma iść na dno, czujemy mrowienie w końcówce ogona. Trochę jakby ścierpły nam nogi. Dziś o szóstej rano, kiedy jadłem śniadanie, nagle poczułem mrowienie ogona. Początkowo uznałem, że to tylko nawrót reumatyzmu, więc poszedłem zapytać ciotkę, jak się czuje. Pamiętasz moją ciotkę? Długą, chudą, łaciatą szczurzycę, która przyszła do twojego gabinetu w Puddleby zeszłej wiosny, bo chorowała na żółtaczkę? Cóż... powiedziała, że

też czuje mrowienie w ogonie! I to jakie! Wtedy już wiedzieliśmy, że nie miną dwa dni, a statek na pewno zatonie. Uznaliśmy, że opuścimy go, kiedy tylko w zasięgu wzroku znajdzie się ląd. To kiepska łajba, Doktorze. Nie pływaj nią więcej, bo inaczej na pewno pójdiesz na dno. Do widzenia! Idziemy szukać dobrego schronienia na wyspie.

— Do widzenia! — rzekł Doktor. — I bardzo dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. To bardzo uprzejme. Bardzo! Uszanowania dla ciotki. Doskonale ją pamiętam... Zostaw tego szczura, Dżip! Do nogi! Leżeć!

Potem Doktor i jego zwierzęta ruszyli przed siebie w poszukiwaniu wody, niosąc wiadra i ron-dle, podczas gdy resztą bagaży zajęły się jaskółki.

— Ciekawe, jak nazywa się ta wyspa — powiedział Doktor, gdy wspinali się już po zboczach góry. — Wydaje się bardzo przyjemna. I zamieszkuje ją mnóstwo ptaków!

— Przecież to jedna z Wysp Kanaryjskich!
— stwierdziła Dab-Dab. — Nie słyszysz, ile tu kanarków?

Doktor przystanął i nadstawił ucha.

— A niech mnie! Rzeczywiście! — rzucił.
— Ale ze mnie głupiec! Może one powiedzą nam, gdzie znajdziemy wodę.

Kanarki, które słyszały o Doktorze Dolittle'u od wędrownych ptaków, zaprowadziły go do pięknego źródelka chłodnej, czystej wody, w której lubiły się kąpać. Pokazały mu też wspaniałe łąki, pełne roślin, których nasiona jadły, oraz inne warte uwagi miejsca na wyspie.

Dwugłowiec był zachwycony, bo zielona trawa smakowała mu o wiele bardziej od suszonych jabłek, które jadł na pokładzie. A Gub-Gub kwiknął z rozkoszy, kiedy znalazł całą dolinę pełną trzciny cukrowej.

Nieco później, gdy wszyscy napili się już i najedli do syta i leżeli na plecach, słuchając śpiewu kanarków, podleciały do nich dwie bardzo zdenerwowane jaskółki.

— Doktorze! — zawołały. — Piraci wpłynęli do zatoki. Są na naszym statku, pod pokładem. Patrzą, co by tu ukraść. Ich własna, bardzo szybka łódź stoi pusta. Jeśli zaraz pójdziecie wszyscy na brzeg, możecie do niej wsiąść, odpłynąć i uciec! Ale trzeba się spieszyć.

— Co za świetny pomysł — rzekł Doktor. — Wybornie!

Zaraz przywołał do siebie zwierzęta, pożegnał się z kanarkami i pobiegł na plażę.

Kiedy dotarli na brzeg, zobaczyli, że piracki statek o trzech czerwonych żaglach stoi nieruchomo. Zgodnie z tym, co powiedziały jaskółki, na pokładzie nie było nikogo. Piraci myszkowali teraz pod pokładem łajby Dolittle'a, szukając wartościowych przedmiotów.

Więc John Dolittle kazał zwierzętom iść na paluszkach i przekradł się razem z nimi na piracki statek.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY. SMOK BERBERII

Wszystko poszłoby gładko, gdyby prosiaczek nie przeziębził się, gdy jadł na wyspie wilgotną trzcinę cukrową. Oto, co się stało:

Doktor i zwierzęta bezszelestnie podnieśli kotwicę, po czym zaczęli powoli i ostrożnie wypływać z zatoki, gdy nagle Gub-Gub kichnął tak głośno, że piraci na drugim statku natychmiast wybiegli na pokład, żeby zobaczyć, co to za hałasy.

Kiedy tylko zorientowali się, że Doktor ucieka, postawili żagle i pożeglowali tak, żeby zablokować mu drogę na otwarte morze.

Następnie przywódca złoczyńców, Ben Ali zwany Smokiem, pogroził Doktorowi pięścią i wrzasnął przez dzielącą ich wodę:

— Ha, ha! Jesteś w pułapce, drogi przyjacielu! Chciałeś czmychnąć moim własnym statkiem? Za słaby z ciebie marynarz, żeby pokonać Bena Alego, Smoka Berberii! Chcę twoją kaczkę i prosiaka. Dziś na kolację zjemy scha-

bowego i pieczyste. A zanim pozwolę ci udać się do domu, zmuszę twoich krewnych, żeby wysłali mi skrzynię pełną złota.

Nieszczęsny Gub-Gub zaczął płakać, a Dab-Dab szykowała się do lotu, żeby ratować życie. Ale sowa Tu-Tu nachyliła się i zaczęła szeptać Doktorowi do ucha.

— Pozwól mu gadać dalej, Doktorze. Nasza stara łajba na pewno wkrótce zatonie. Szczury mówiły, że pójdzie na dno nie później niż jutrzejszej nocy... a w takich sprawach szczury nigdy się nie mylą. Bądź uprzejmy i czekaj, aż statek zatonie pod Benem Ali. Niech gada.

— Chwila, do jutrzejszej nocy? — spytał Doktor. — Cóż, zrobię, co będę mógł... Zastanówmy się. O czym mógłbym z nim porozmawiać?

— Litości! — rzucił Dżip. — Przecież damy tym draniom radę! Jest ich tylko sześciu. Niech wejdą na pokład. Po powrocie do domu chętnie pochwalę się owczarkowi sąsiadów, że ugryzłem prawdziwego pirata. Niech tu przyjdą. Damy radę!

— Mają pistolety i szable — zauważył Doktor. — Nie, to kiepski pomysł. Muszę porozmawiać z ich hersztem. Słuchaj no, Benie Ali!...

Ale zanim Doktor zdążył powiedzieć coś więcej, piraci zaczęli podpływać coraz bliżej. Śmia-
li się gromko i zastanawiali na głos, który z nich
jako pierwszy zdoła złapać prosiaka.

Biedny Gub-Gub był ledwie żywy ze strachu, a dwugłowiec zaczął ostrzyć sobie rogi o maszt, pewny, że zaraz dojdzie do walki. Tymczasem Dżip wyskakiwał w górę z czterech łap i szczekał, śląc pod adresem Bena Alego najgorsze wyzwiska w języku psów.

Niespodziewanie piratom zepsuł się humor. Przestali śmiać się i żartować. Wyglądali na zaniepokojonych. Coś było nie tak.

Ben Ali zerknął pod nogi i ryknął:

— A niech to piorun trzaśnie! Panowie, łódź przecieka!

Pozostali piraci wyjrzeni za burtę i zorientowali się, że łódź rzeczywiście zanurza się co-

raz głębiej i głębiej. Jeden z nich odezwał się do Bena Alego:

— Przecież gdyby tonęła, zobaczylibyśmy uciekające szczury!

— Wy durnie! — wrzasnął do nich Dżip z pokładu drugiego statku. — Nie było ich już na pokładzie! Zawinęły się dwie godziny temu! Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni, drodzy przyjaciele!

Ale oni go, rzecz jasna, nie zrozumieli.

Dziób zanurzał się coraz szybciej, aż wreszcie wydawało się, że cały statek stoi na głowie. Piraci chwytali się relingu, masztów i lin, żeby nie spaść do morza, ale chwilę później woda wtargnęła z rykiem do środka przez okna i drzwi. Statek poszedł na dno jak kamień, wydając przy tym złowrogi bulgot. Sześciu złoczyńców dryfowało teraz na falach w zatoce.

Niektórzy ruszyli wplaw w kierunku wyspy, ale inni próbowali dostać się na łódź, którą zajął Doktor. Tyle, że Dżip kłapał groźnie zębami, więc bali się wspiąć na pokład.

Nagle wszyscy wydali zbiorowy jęk strachu.

— Rekiny! Rekiny nadpływają! Dajcie nam wejść, zanim nas zjedzą! Pomocy! Rekiny! Rekiny!

Doktor też widział, jak wodę zatoki przecinają płetwy wielkich ryb.

Jeden z żarłaczy podpłynął do statku, wystawił nos z wody i spytał go:

— Czy to pan John Dolittle, słynny lekarz zwierząt?

— Tak — odparł Doktor. — To ja.

— Cóż — rzekł rekin. — Wiemy, że ci piraci to typki spod ciemnej gwiazdy. Szczególnie Ben Ali. Jeśli wam przeszkadzają, chętnie ich schrupiemy. Będziecie mieli spokój.

— Dziękuję — powiedział Doktor. — To naprawdę bardzo uprzejme z waszej strony. Ale nie sądzę, by pożarcie piratów było konieczne. Nie pozwólcie im dotrzeć do brzegu, póki nie dam wam znaku. Niech płyną w kółko, dobrze? I proszę was, skłońcie Bena Alego, żeby tu podpłynął, bo chcę z nim porozmawiać.

Rekiny posłusznie zagoniły Bena Alego do Doktora.

— Posłuchaj, Benie Ali — rzekł John Dolittle, przechylając się przez reling. — Byłeś bardzo złym człowiekiem. Jak rozumiem, wielokrotnym mordercą. Te oto rekiny zaoferowały uprzejmie, że pożrą cię, żeby ułatwić mi życie. Bez ciebie morze rzeczywiście stałoby się bezpieczniejsze. Ale jeśli obiecasz, że postąpisz, jak ci powiem, puszcę cię wolno.

— Co mam zrobić? — spytał pirat, zerkając na wielkiego rekina, który obwąchiwał pod wodą jego nogę.

— Nie wolno ci zabić już nikogo więcej — powiedział Doktor. — Przestaniesz też kraść. Musisz zrezygnować z zatapiania statków. Porzuć życie pirata!

— To czym się będę zajmował? — spytał Ben Ali. — Z czego będę żył?

— Ty i twoi ludzie musicie udać się na wyspę i zacząć uprawiać karmę dla ptaków — odparł Doktor. — To znaczy będziecie uprawiali rośliny, których nasiona jedzą kanarki.

Smok Berberii zbladł z wściekłości.

— Karma dla ptaków?! — jęknął z obrzydzeniem. — A nie mogę chociaż zostać marynarzem?

— Nie — powiedział Doktor. — Nie możesz. Byłeś nim już wystarczająco długo. Posłałeś wiele statków i wielu dobrych ludzi na dno morza. Resztę życia musisz spędzić jako spokojny rolnik. Rekin czeka. Nie marnuj dłużej jego czasu. Zdecyduj się.

— Niech to piorun strzeli! — wymamrotał Ben Ali. — Karma dla kanarków!

Potem znów spojrzał w wodę i zobaczył, że wielki rekin obwącjuje mu drugą nogę.

— Niech będzie — rzekł ze smutkiem. — Zostaniemy rolnikami.

— Ale pamiętaj — powiedział Doktor — że jeśli złamiesz daną obietnicę i znów zaczniesz kraść i zabijać, dowiem się o tym, bo kanarki przylecą wszystko mi powiedzieć. Bądź pewien, że wymyślę dla ciebie odpowiednią karę. Bo choć nie potrafię żeglować tak dobrze jak ty, póki mam za przyjaciół zwierzęta lądowe

i wodne, nie muszę bać się pirackiego wodza... choćby nawet nazywał się Smokiem Berberii. A teraz płyn na wyspę, gdzie czeka cię nowe, spokojne życie rolnika.

Następnie Doktor spojrział na wielkiego rekina, machnął ręką i powiedział:

— W porządku. Pozwólcie im dopłynąć do brzegu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY. TU-TU NADSTAWIA UCHA

Doktor raz jeszcze pięknie podziękował rekinom za pomoc, po czym razem ze zwierzętami ruszył w dalszą drogę do domu, teraz już na pokładzie prędkiego statku o trzech czerwonych żaglach.

Gdy wypłynęli na otwarte morze, zwierzęta zeszły pod pokład, żeby zobaczyć swój nowy nabytek od wewnątrz. Tymczasem Doktor stał na rufie, oparty o reling, ćmił fajkę i patrzył na Wyspy Kanaryjskie, które oddalały się i niknęły w gęstniejącym, wieczornym mroku.

Zastanawiał się właśnie, jak radzą sobie bez niego małpy i jak wyglądać będzie jego ogród, kiedy wróci już do Puddleby, kiedy na pokład wdrapała się po schodach Dab-Dab. Była tak zachwycona, że dziób jej się nie zamykał.

— Doktorze! — zawołała. — Ten piracki statek to prawdziwe чудо. Bez dwóch zdań! Na łózkach leży jedwabna pościel i całe mnóstwo wielgachnych poduszek, a na podłodze grube, miękkie dywany. Cała zastawa jest ze srebra, a specjałów i pyszności do jedzenia i picia na pewno nam nie zabraknie! Spizarnia wygląda jak sklep! Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałeś. Posłuchaj tylko: piraci trzymali tu pięć różnych rodzajów sardynek! Chodź zobaczyć! Acha, znaleźliśmy też niewielki pokój, ale prowadzące do niego drzwi są zamknięte na klucz. Koniecznie chcemy dostać się do środka i zobaczyć, co tam jest! Dżip uważa, że na pewno piracki skarb. Ale nie potrafimy otworzyć drzwi. Zejdź na dół i spróbuj nam pomóc.

Tak więc Doktor zszedł pod pokład i zobaczył, że statek rzeczywiście jest imponujący³⁹. Zwierzęta stały wokół niewielkich drzwiczek. Mówiły jedno przez drugie, usiłując zgadnąć, co kryje się po drugiej stronie. Doktor nacisnął klamkę, ale drzwi nie puściły. Rozpoczęto więc poszukiwania klucza. Zwierzęta zerknęły pod słomiankę, potem zajrzały pod wszystkie dywany, do szaf, szafek i szuflad, przeszukały pękate skrzynie stojące w mesie⁴⁰. Spojrzały wszędzie, gdzie tylko się dało!

Znalazły przy okazji wiele wspaniałych, pięknych przedmiotów, które piraci najwyraźniej ukradli z innych statków: kaszmirowe⁴¹ szale wyszywane w złote kwiaty, tak delikatne, jakby utkano je z pajęczyny, słoiki wyśmienitego jamajskiego tytoniu, rzeźbione szkatułki z kości słoniowej pełne liści rosyjskiej herbaty, stare

³⁹*imponujący* — budzący podziw, szacunek. [przypis edytorski]

⁴⁰*mesa* — duże pomieszczenie na statku służące jako jadalnia, miejsce zebrań załogi itp. [przypis edytorski]

⁴¹*kaszmirowy* — wykonany z *kaszmiru*, tj. lekkiego, gładkiego, miękkiego materiału wełnianego wysokiej jakości; nazwa pochodzi od regionu w Indiach, Kaszmiru, gdzie żyją kozy dostarczające wełny na przędzę kaszmirową. [przypis edytorski]

skrzypce z pękniętą struną i obrazem namalowanym z tyłu pudła, zestaw figur szachowych z masy koralowej i bursztynu, laseczkę do podpierania się przy chodzeniu, w której ukryta była szpada, sześć kieliszków do wina o turkusowo-srebrnych brzegach, a do tego wspinała cukiernicę z masy perłowej. Jednak klucza, który pasowałby do zamkniętych drzwi, nigdzie nie było.

Wszyscy znów więc do nich podeszli, a Dżip zerknął przez dziurkę od klucza. Ale po drugiej stronie najwyraźniej ustawione było coś dużego, bo nic nie zobaczył.

Kiedy tak stali, niepewni, co robić dalej, nagle odezwała się Tu-Tu.

— Ćśś! Słuchajcie! Po drugiej stronie chyba ktoś jest!

Wszyscy zamilkli.

— Zdaje ci się — stwierdził w końcu Doktor. — Nic nie słyhać.

— Nie mam cienia wątpliwości! — powiedziała sowa. — Oho! Znowu to usłyszałam! Wy nie?

— Nie — odparł Doktor. — Co to konkretnie za dźwięk?

— Brzmi, jakby ktoś wsuwał dłoń do kieszeni — powiedziała sowa.

— Przecież czegoś takiego właściwie nie słychać! — stwierdził Doktor. — A ty jesteś po drugiej stronie drzwi! Niemożliwe!

— Wypraszam sobie — rzuciła Tu-Tu. — Jasne, że możliwe. Mówię ci, że po drugiej stronie drzwi jest ktoś, kto wkłada sobie dłoń do kieszeni. Niemal każdy ruch wydaje jakiś dźwięk... jeśli tylko ma się wystarczająco czuły słuch, żeby go wychwycić. Nietoperze słyszą nawet ruchy kreta, ryjącego głęboko pod ziemią. Dlatego są bardzo dumne ze swoich uszu. Ale my, sowy, potrafimy stwierdzić, jakiego koloru jest futro siedzącego w ciemności kociaka. Starczy, że jednym uchem usłyszemy, jak mruży oczy!

— A niech mnie! — mruknął Doktor. — Jestem pod wrażeniem. To bardzo ciekawe...

Wysłuchaj się jeszcze raz i powiedz, co teraz robi nieznajomy.

— Nie jestem jeszcze pewna, czy to mężczyzna — powiedziała Tu-Tu. — Możliwe, że kobieta. Podnieś mnie i pozwól mi przystawić ucho do dziurki od klucza, a zaraz wszystko ci powiem.

Więc Doktor pomógł sowie przystawić głowę do zamka.

Po chwili Tu-Tu powiedziała:

— Teraz pociera sobie twarz lewą ręką. Ręka jest mała, twarz tak samo. Możliwe, że to kobieta... Nie, jednak nie. Teraz odgarnia sobie włosy znad czoła. To na pewno mężczyzna.

— Kobiety też czasem to robią — zauważył Doktor.

— Fakt — przyznała sowa. — Ale ich długie włosy wydają wtedy inny dźwięk. Ćśś! Ucisz z łaski swojej tego prosiaka! A teraz wszyscy wstrzymajcie oddech, bo chcę nasłuchiwać. Moje zadanie jest niełatwe, a drzwi są okropnie

grube! Ćśś! Niech nikt się nie rusza. Zamknijcie oczy i przestańcie oddychać.

Tu-Tu jeszcze raz przysunęła głowę do drzwi i przez dłuższą chwilę nasłuchiwała z całych sił.

Nareszcie spojrzała w oczy Doktora i powiedziała:

— W środku jest nieszczęśliwy mężczyzna. Płacze. Uważa, żeby nie szlochać i nie pociągać nosem, bo nie chce, żebyśmy go usłyszeli. Ale ja i tak wiem, co się dzieje. Wyraźnie słyszałam, jak łza pada mu na rękaw koszuli.

— Skąd pewność, że to nie kropla wody, która skapnęła z sufitu? — spytał Gub-Gub.

— Litości! Co za ignorancja⁴²! — sapnęła Tu-Tu. — Gdyby kropla spadła z sufitu, byłby dziesięć razy większy hałas!

— Cóż — powiedział Doktor. — Jeśli biedaczysko jest nieszczęśliwy, lepiej chodźmy zobaczyć, co mu dolega. Przynieście siekierę, zaraz roztrzaskam drzwi.

⁴²ignorancja — niewiedza. [przypis edytorski]

ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚTY. PLOT- KARZE OCEANU

Siekiera znalazła się natychmiast. Doktor raz-dwa wyrąbał w drzwiach dziurę, przez którą dało się przejść.

W pierwszej chwili nic przez nią nie zobaczył, bo w pokoju było całkiem ciemno. Zapalił zapałkę.

Wnętrze było ciasne. Żadnych okien, niski sufit. Żadnych mebli poza jednym stołkiem. Pod każdą ze ścian stały beczki, przymocowane do podłogi, żeby się nie poprzewracały. Nad nimi powieszono na drewnianych kołkach cynowe dzbanki. Mocno pachniało winem. A na środku podłogi siedział chłopiec, mniej więcej ośmioletni, który zalewał się łzami.

— A niech mnie! — szepnął Dżip. — To piracki składzik na rum!

— Rum, że chrum-chrum! — dodał Gub-Gub. — Od samego zapachu kręci mi się w głowie.

Chłopczyk najwyraźniej przestraszył się, kiedy zobaczył, że przez wyrąbaną dziurę przygląda mu się mężczyzna otoczony przez zwierzęta. Ale kiedy tylko dojrzał w świetle zapalki twarz Doktora Dolittle'a, natychmiast przestał płakać i wstał.

— Nie jest pan jednym z piratów, prawda? — spytał.

A kiedy Doktor odrzucił głowę w tył i roześmiał się głośno i serdecznie, chłopiec też się uśmiechnął i podał mu dłoń.

— Śmieje się pan jak przyjaciel, a nie jak pirat — stwierdził. — Może mi pan powiedzieć, gdzie znajdę mojego wujka?

— Obawiam się, że nie — odparł Doktor. — Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

— Przedwczoraj — powiedział chłopiec. — Łowiliśmy właśnie ryby na naszej małej łodzi, gdy pojмали nas piraci. Zatopili łódź i sprowadzili nas na swój statek. Powiedzieli wujkowi, że też ma zostać piratem, bo potrafi żeglować przy każdej pogodzie. Ale odmówił, bo

porządny rybakom nie przystoi zabijać i kraść. Wtedy herszt bandy, Ben Ali, bardzo się zezłościł, zgrzytnął zębami i zagroził, że wyrzuci wujka za burzę, jeśli nie będzie posłuszny. Mnie wysłali pod pokład. Słyszałem dochodzące z góry odgłosy walki. A kiedy znów pozwolono mi wejść na górę, wujka nigdzie nie było. Pytałem o niego piratów, ale nie chcieli odpowiadać. Bardzo się boję, że zepchnęli go za burzę i że utonął.

Po tych słowach chłopiec znowu zalał się łzami.

— Chwileczkę. Spokojnie — powiedział Doktor. — Nie płacz. Chodźmy pogadać do mesy. Niewykluczone, że twój wujek jest cały i zdrowy. Nie masz pewności, że utonął, prawda? To już coś. Może uda nam się go odnaleźć. Najpierw napijemy się herbaty z dżemem truskawkowym, a potem ustalimy plan działania.

Zwierzęta przysłuchiwały się tej rozmowie z wielkim zainteresowaniem. Kiedy wszyscy przemieśli się już do mesy i zaparzyli sobie herba-

tę, Dab-Dab przyczłapała do krzesła Doktora i szepnęła:

— Zapytaj morświny, czy wuj chłopca utonął. Na pewno będą to wiedziały.

— W porządku — rzekł Doktor i sięgnął po kolejną kromkę chleba z dżemem.

— Czemu tak dziwnie mlaska pan językiem? — spytał chłopiec.

— Wypowiedziałem tylko kilka słów w języku kaczym — wyjaśnił Doktor. — To Dab-Dab, jedno z moich zwierzątek.

— Nie miałem pojęcia, że kaczki mają swój język — powiedział chłopiec. — Pozostałe zwierzęta też należą do pana? A co to za dziwoląg z dwiema głowami?

— Ćśś! — szepnął Doktor. — To dwugłowiec. Nie chcę, żeby wiedział, że o nim rozmawiamy, bo okropnie by się zawstydził. Powiedz mi, jak to się stało, że zostałeś zamknięty w składziku?

— Piraci wepchnęli mnie tam, kiedy ruszali okraść inny statek. Nie wiedziałem, kto

dobija się do drzwi. Byłem przeschęśliwy, kiedy zobaczyłem, że to pan. Czy zdoła pan znaleźć mojego wujka?

— Zrobimy, co tylko w naszej mocy — rzekł Doktor. — Powiedz, jak on wygląda.

— Jest rudy — odparł chłopiec. — Ma jasnoczerwone włosy, a na ramieniu wytatowaną kotwicę. Jest silny i czuły. To najlepszy żeglarz na południowym Atlantyku. Jego łódź nazywała się „Zuchwała Zuzanna”. To kuter otaklowany⁴³ jako slup⁴⁴.

— Co to jest „kuter otaklowany jako slup”? — szepnął Gub-Gub do Dżipa.

— Ćśś! — syknął pies. — To po prostu łódź tego wujka i tyle! Nie wierć się

— Aha — rzucił prosiak. — I już? Bo myślałem, że „slup” to coś do picia...

⁴³otaklowany — o statku: olinowany, tu: wyposażony (w liny, maszty, żagle) i przygotowany do żeglugi w odpowiedni sposób. [przypis edytorski]

⁴⁴slup — typ ożaglowania żaglowej jednostki pływającej, która ma jeden maszt (grotmaszt), a jego podstawowe ożaglowanie to grot (żagiel główny) oraz podnoszony na sztagu (tj. linie przymocowanej na stałe) fok (żagiel pomocniczy). [przypis edytorski]

Po chwili Doktor zostawił chłopca w mesie w towarzystwie zwierząt i poszedł na pokład, żeby wypatrywać przepływających morświnów.

Wkrótce pojawiło się całe stado — skakały i tańczyły w wodzie, zmierzając do Brazylii.

Kiedy zobaczyły, że Doktor wychyla się przez reling, podpłynęły zobaczyć, co się dzieje.

Doktor zapytał, czy wiedzą coś o losach rudego mężczyzny z kotwicą na ramieniu.

— Chodzi o kapitana „Zuchwałej Zuzanny”? — spytały morświny.

— Tak — powiedział Doktor. — Właśnie o niego. Czy się utopił?

— Jego łódź poszła na dno — odparły morświny. — Widziałyśmy ją tam. Ale w środku nikogo nie było. Sprawdziłyśmy uważnie.

— Na moim statku jest jego bratanek — powiedział Doktor. — Bardzo się boi, że piraci wyrzucili jego wujka za burtę. Czy możecie wyświadczyć mi przysługę? Dowiedźcie się, czy mężczyzna utonął czy nie.

— Na pewno nie utonął — powiedziały morświny. — Gdyby utonął, powiedziałyby nam

o tym głębinowe skorupiaki. Znamy wszystkie słonowodne nowinki. Małże nazywają nas plotkarzami oceanu! Możesz powiedzieć chłopcu, że choć nie wiemy, gdzie jest jego wujek, gwarantujemy, że nie utonął.

Więc Doktor pobiegł pod pokład i przekazał wieści chłopcu, który zaklaskał w dłonie z radości. A potem dwugłowiec wziął go na grzbiet i obwiał wokół stołu jadalnego, podczas gdy pozostałe zwierzęta szły za nimi, bijąc łyżkami w pokrywki od garnków, jakby brały udział we wspaniałej paradzie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY. ZAPACHY

— Musimy znaleźć zaginionego wujka — rzekł Doktor. — To nasze następne zadanie, skoro wiemy już, że nie wrzucono go do morza.

Dab-Dab podeszła bliżej i szepnęła:

— Poproś o pomoc orły. Mają najlepszy wzrok ze wszystkich zwierząt na świecie. Po-

trafią wypatrzyć nawet mrówkę z wysokości kilku kilometrów. Niech poszukają wujka!

Więc Doktor wysłał jedną z jaskółek, żeby sprowadziła orły.

Jakieś pół godziny później małeńki ptaszek wrócił w towarzystwie sześciu upierzonych olbrzymów. Był tam bielik amerykański i afrykański, orzeł czarny, orzeł przedni, orłosęp i orzeł birkut, a każdy przynajmniej dwa razy wyższy od zapłakanego chłopca. Gdy przysiadły na relingu, przypominały rząd przygarbionych żołnierzy: poważnych, nieruchomych i czujnych. Tylko spojrzenia ich czarnych oczu przemykały to tu, to tam.

Gub-Gub schował się ze strachu za beczką. Mówił później, że czuł na sobie spojrzenia orłów, zupełnie jakby zaglądały w głąb jego duszy, żeby dowiedzieć się, co ukradł dziś na śniadanie.

Doktor odezwał się do orłów w te słowa:

— Zaginął pewien mężczyzna. Rybak o czerwonych włosach i z wytatuowaną na ramieniu

kotwicą. Czy pomożecie nam go znaleźć? Ten chłopiec jest jego bratankiem.

Orły mówią niewiele. Odpowiedziały tylko chrapliwymi głosami:

— Dla Johna Dolittle'a zrobimy, co w naszej mocy.

Odleciały, a Gub-Gub aż wyszedł zza beczki, żeby obserwować ich lot. Były coraz wyżej i wyżej... i wyżej, i wyżej, i jeszcze wyżej. A potem, kiedy Doktor niemal już ich nie widział, rozdzieliły się i poleciały w cztery strony świata — na północ, południe, wschód i zachód. Wyglądały na tle niebieskiego nieba niczym małeńkie ciemne kropki.

— O rany! — szepnął Gub-Gub. — Co za pułap⁴⁵! Aż dziw, że pióra im się nie spala... przecież latają tak blisko słońca!

Orły wróciły dopiero późnym wieczorem. Powiedziały Doktorowi:

— Przepatrzyłyśmy wszystkie morza, kraje, wyspy, miasta i wioski po tej stronie świa-

⁴⁵*pułap* — maksymalna wysokość, jaką jest w stanie osiągnąć statek powietrzny. [przypis edytorski]

ta. Ale nie powiodło się nam. Na głównej ulicy Gibraltaru, przed piekarnią zauważyliśmy taczkę, na której leżały trzy rude włosy, nie pochodziły jednak z głowy ludzkiej, a z futrzanego płaszczka. Ani na ziemi, ani w wodzie, ani w ogóle nigdzie nie dostrzegliśmy śladu wujka tego chłopca. A skoro nam się to nie udało, najwyraźniej zobaczyć go po prostu nie sposób. Dla Johna Dolittle'a zrobiliśmy, co w naszej mocy.

Potem sześć wielkich ptaków załopotowało skrzydłami i odleciało z powrotem do swych górskich gniazd.

— No... — powiedziała Dab-Dab, gdy już ich nie było — to co teraz zrobimy? Przecież musimy odnaleźć zaginionego wujka! Bez dwóch zdań. Ten chłopiec jest zbyt młody, żeby rozbić się po świecie w pojedynkę! Chłopcy nie są jak kaczęta. Wymagają opieki przez długie lata. Szkoda, że nie ma z nami Czi-Czi. Ona na pewno znalazłaby tego mężczyznę. Poczciwa Czi-Czi! Ciekawe, jak sobie radzi!

— Szkoda, że nie ma z nami Polinezji — dodała biała myszka. — Ona na pewno coś by wymyśliła. Pamiętajcie, jak uwolniła nas z więzienia? I to dwa razy! Ależ z niej było łąbskie⁴⁶ ptaszysko!

— Nie imponują⁴⁷ mi te orły — stwierdził Dżip. — Niepotrzebnie zadzierają dzioba. Niby mają dobry wzrok, ale kiedy poprosić je, żeby kogoś znalazły, zaraz dają plamę. I jeszcze mają czelność przylecieć, żeby powiedzieć, że nikt inny na pewno też nie dałby sobie rady! Są zarozumiałe. Jak ten owczarek z Puddleby. O plotkujących morświnach też nie mam zbyt wysokiego mniemania. Powiedziały tylko, że faceta nie ma w morzu. A przecież nie pytaliśmy, gdzie go nie ma, tylko gdzie jest!

— Przestań kłapać jadaczką — uciął Gub-Gub. — Gadać każdy potrafi. To łatwe. Trudniej znaleźć kogoś, kto może być teraz zupełnie wszędzie! Możliwe, że rybak, którego szukamy, tak bardzo martwił się o bratanka, że

⁴⁶łąbski (pot.) — sprytny, zmyślny, mądry. [przypis edytorski]

⁴⁷imponować komuś — wzbudzać w kimś podziw i szacunek. [przypis edytorski]

całkiem osiwiał, i dlatego orły nie dały rady go wypatrzyć. Nie pozjadałeś wszystkich rozumów. Tylko siedzisz i gadasz. Nawet nie próbujesz pomóc! Wiesz, że nie dorastasz orłom do pięt i nie poradziłbyś sobie nawet w połowie tak dobrze jak one.

— Ja? — spytał pies. — Nie masz pojęcia, o czym mówisz, ty głupia słonino! Jeszcze nie zacząłem działać, prawda? Ja ci pokażę!

Zaraz podszedł do Doktora.

— Zapytaj chłopca, czy ma w kieszeniach coś, co należało do jego wujka, dobrze? — poprosił.

Więc Doktor powtórzył pytanie. Chłopak pokazał mu złoty pierścionek, który nosił na sznurku na szyi, bo był zbyt duży na jego palec. Wyjaśnił, że wuj dał mu go, gdy zobaczył, że zbliżają się piraci.

Dżip powąchał pierścionek i powiedział:

— Nic z tego. Spytaj, czy ma coś jeszcze, co należało do wujka.

Następnie chłopiec wyciągnął z kieszeni wielką, czerwoną chustę.

— Wujek ją nosił — wyjaśnił.

Dżip skoczył na równe łapy.

— Na psa urok! Tabaka⁴⁸! Czarna tabaka Rappee! Czujesz, Doktorze? Spytaj chłopca, czy jego wuj zażywał tabakę!

— Tak — powiedział chłopiec. — Robił to bardzo często.

— Świetnie! — orzekł Dżip. — Właściwie już go mamy. To banał: jakby zabierać kocia-kowi mleko. Powiedz chłopcu, że znajdę jego wuja w mniej niż tydzień. Chodźmy na pokład i sprawdźmy, w którą stronę wieje wiatr.

— Ale już ciemno — zaprotestował Doktor. — Po ciemku go nie znajdziesz!

— Nie trzeba mi światła, żeby znaleźć kogoś, kto pachnie tabaką Rappee! — rzekł Dżip, wspinając się po schodach. — Gdyby pachniał czymś, co trudno wyczuć, na przykład sznurkiem czy gorącą wodą, byłaby inna rozmowa. Ale tabaka? Też mi coś!

⁴⁸*tabaka* — sproszkowany aromatyzowany tytoń, używany dawniej jako środek pobudzający do kichania. [przypis edytorski]

— Gorąca woda ma własny zapach? — spytał Doktor.

— No jasne — odparł Dżip. — Pachnie zupełnie inaczej od zimnej. Najtrudniej wyczuć właśnie gorącą wodę... i lód. Pamiętam, że zdarzyło mi się iść po ciemku śladami pewnego mężczyzny przez piętnaście kilometrów, a prowadził mnie wtedy tylko zapach gorącej wody, której użył podczas golenia... bo biedaka nie było stać na mydło. No dobrze, zorientujmy się, z której strony wieje wiatr. Wiatr jest bardzo ważny, kiedy trzeba kogoś wywęszyć z dużej odległości. Nie powinien być zbyt porywisty, no i — rzecz jasna — musi wiać z właściwej strony. Najlepsza jest delikatna, wilgotna bryza... Aha! Teraz wieje wiatr północny.

Dżip podreptał na dziób okrętu, gdzie zaczął węszyć, mamrocząc przy tym pod nosem:

— Smoła, hiszpańskie cebule, nafta, mokre płaszcze przeciwdeszczowe, pokruszone liście laurowe, płonąca guma, prane koronkowe franki... nie, chwila, mój błąd, franki, które

wywieszono na słońce, żeby wyschły... oraz lisy... mnóstwo lisich szczeniąt...

— Naprawdę czujesz to wszystko na jednym podmuchu wiatru? — spytał Doktor.

— Oczywiście! — powiedział Dżip. — A to tylko najłatwiejsze zapachy. Te mocne. Nawet kundel z katarą dałby radę je wywęszyć. Teraz wyliczę ci delikatniejsze aromaty, które czuję.

Pies zacisnął oczy, wysunął nos jak najwyżej umiał i zaczął węszyć z całej siły z uchyłonym pyskiem.

Przez dłuższy czas nic nie mówił. Stał nieruchomo jak kamień. Wydawał się wcale nie oddychać. Kiedy wreszcie się odezwał, brzmiało to, jakby śpiewał przez sen jakąś smutną pieśń.

— Cegły — westchnął cicho. — Stare, zżółknie, pokruszone cegły z ogrodowego murku. Słodka woń cieląt, stojących po kolana w górskim strumieniu. Ołowiany dach gołębnika... albo spichlerza⁴⁹... rozgrzany przez południowe

⁴⁹*spichlerz* — magazyn służący do przechowywania ziarna zbóż; w razie potrzeby można z niego czerpać zboże do spożycia lub zasiewów. [przypis edytorski]

słońce. Czarne rękawiczki w szufladzie biurka z drewna orzechowego. Koryto z wodą dla koni, stojące pod klonami, na piaszczystej drodze. Maleńkie grzyby, które rosną wśród gnijących liści i... no... i...

— A czujesz pasternak? — spytał Gub-Gub.

— Nie — odparł Dżip. — Ciągłe myślisz tylko o żarciu! Nie, nie czuję ani śladu pasternaku. Tabaki zresztą też nie. Czuję sporo fajek i papierosów, a nawet kilka cygar. Ale tabaki brak. Musimy poczekać, aż powieje wiatr od południa.

— No jasne, zwał winę na wiatr — parsknął Gub-Gub. — Myślę, że oszust z ciebie, Dżipie. Kto to słyszał, żeby znaleźć kogoś na środku oceanu i to po zapachu! Mówiłem, że nie dasz rady.

— Ostrzegam cię! — rzucił Dżip, który zezłościł się nie na żarty. — Zaraz ugryzę cię w nos! Myślisz, że skoro Doktor cię przed nami chroni, możesz gadać, co ci ślina na język przyniesie!

— Przestańcie się kłócić — powiedział Doktor. — Natychmiast! Szkoda na to życia. Jak sądzisz, Dżipie, skąd niosą się te zapachy?

— Z Devon i Walii. Przynajmniej większość z nich — powiedział Dżip. — Wiatr wieje właśnie stamtąd.

— No, no! — powiedział Doktor. — To naprawdę niesamowite. Muszę napisać o tym w mojej nowej książce. Ciekaw jestem, czy dałbyś radę mnie wyszkolić, żebym też miał taki dobry węch... Ale nie, chyba nie będę kombinował. Jak to mówią, „lepsze jest wrogiem dobrego”! A teraz chodźmy na kolację. Zgłódniałem.

— Ja też — dorzucił natychmiast Gub-Gub.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY. SKAŁA

Następnego dnia obudzili się wczesnym rankiem i wstali ze swoich zasłanych jedwabiem

łózek. Słońce świeciło jasno, a wiatr wiał od południa.

Dżip węszył przez jakieś pół godziny, a potem podszedł do Doktora i pokręcił głową.

— Póki co nie wyczułem tabaki — powiedział. — Musimy poczekać, aż powieje wiatr wschodni.

Ale nawet, kiedy — o trzeciej po południu — rzeczywiście powiał wiatr ze wschodu, pies również nic na nim nie wyczuł.

Chłopiec był tak zawiedziony, że znów zaczął płakać. Powtarzał, że nikt nie potrafi znaleźć jego wujka. Ale Dżip powiedział Doktorowi tylko tyle:

— Wyjaśnij, że kiedy wiatr powieje z zachodu, znajdę wujka, choćby był i w Chinach. O ile tylko nadal zażywa tę samą tabakę.

Wiatr zachodni powiał dopiero trzy dni później. Był wczesny, piątkowy poranek — słońce dopiero wstało. Nad morzem wisiała delikatna, wilgotna mgielka. Wiał ciepły, przyjemny wiatr.

Gdy tylko Dżip się obudził, zaraz pobiegł na pokład i skierował nos na zachód. Potem bardzo się ucieszył i pognał z powrotem na dół, żeby obudzić Doktora.

— Doktorze! — zawołał. — Udało się! Doktorze! Doktorze! Pobudka! Udało się! Wiatr wieje z zachodu i nie czuć na nim nic poza tabaką. Chodź na pokład i obróć statek! Szybko!

Więc Doktor wytoczył się z łóżka i poszedł do steru, żeby skierować statek we właściwą stronę.

— Ja pójdę teraz na dziób — oznajmił Dżip. — A ty obserwuj mój nos. Statek musi płynąć tam, gdzie się obróć. Mężczyzna, którego szukamy, najwyraźniej jest niedaleko, bo zapach jest bardzo silny. A wieje cudowny, wilgotny wiatr. Patrz uważnie!

Przez cały ranek Dżip stał na dziobie okrętu, węszył na wietrze i wskazywał Doktorowi drogę. A pozostałe zwierzęta, siedząc wraz z chłopcem na pokładzie, wlepiały w psa zachwycone spojrzenia.

Mniej więcej w porze lunchu Dżip poprosił Dab-Dab, żeby przekazała Doktorowi, że zaczyna się niepokoić i że muszą porozmawiać. Więc Dab-Dab poszła na rufę i przyprowadziła stamtąd Doktora, a Dżip powiedział mu:

— Wujek chłopca głoduje. Musimy przyspieszyć.

— Skąd wiesz, że głoduje? — spytał Doktor.

— Bo zachodni wiatr niesie ze sobą jedynie zapach tabaki — wyjaśnił Dżip. — Gdyby mężczyzna coś gotował, na pewno wyczułbym jedzenie. Ale on nie ma nawet słodkiej wody do picia. Zażywa tylko wielkie porcje tabaki. Zbliżamy się do niego. Wiem, bo zapach staje się silniejszy z każdą chwilą. Ale musimy się pospieszyć, bo na pewno umiera z głodu.

— W porządku — powiedział Doktor. Posłał Dab-Dab, żeby poprosiła jaskółki o pomoc. Miały znów pociągnąć statek, tak samo, jak gdy uciekli przed piratami.

Tak więc dzielne ptaki raz jeszcze chwyciły za sznury i sznurki.

Po chwili łódź zaczęła przecinać fale z zawrotną prędkością. Płynęła tak szybko, że ryby musiały uskakiwać jej z drogi, żeby ujść z życiem.

Zwierzęta ledwie mogły ustać z podekscytowania⁵⁰. Nie patrzyły już na Dżipa, tylko na rozciągające się przed statkiem morze. Wypatrywały plaży czy wyspy, na której mógłby znajdować się głodujący mężczyzna.

Mijały jednak godziny, a statek wciąż ślizgał się po falach. Nigdzie nie było widać choćby skrawka lądu.

Zwierzęta przestały ze sobą rozmawiać. Usiadły, ciche i zdenerwowane. Chłopiec znów posmutniał, a na pysku Dżipa malował się niepokój.

Nareszcie, późnym popołudniem, tuż przed zachodem słońca, Tu-Tu, która siedziała na czubku masztu, nagle przeraziła wszystkich, gdy zawołała ile sił w płucach:

⁵⁰*podekscytowanie* — podniecenie; stan pobudzenia umysłowo-uczuciowego.
[przypis edytorski]

— Dżipie! Dżipie! Widzę przed nami wielką skałę! Spójrz. Tam, gdzie niebo spotyka się z wodą. Widzisz, jak odbija się od niej światło słońca? Wygląda, jakby była zrobiona ze złota! Czy to stamtąd dochodzi zapach?

Dżip odkrzyknął:

— Tak. Właśnie stamtąd. Tam jest mężczyzna, którego szukamy. Nareszcie!

Kiedy podpłynęli bliżej, zorientowali się, jak duża jest skała — była wielka jak rozległe pole. Nie rosły na niej drzewa, nie było trawy. Nic tylko kamień, gładki jak skorupa żółwia.

Doktor opłynął skałę, ale nigdzie nie było widać mężczyzny. W końcu przyniósł spod pokładu lunetę, a zwierzęta wyteżyły wzrok.

Ale na skale nie było żywej duszy. Ani ludzi, ani mew, ani rozgwiazd czy choćby skrawka wodorostów.

Cała załoga nadstawiała uszu, licząc, że rozlegnie się w końcu jakiś dźwięk. Słyszać było jednak tylko łagodny chlupot fal, które biły o burty statku.

Wtedy zwierzęta zaczęły wołać:

— Hej tam! Ahoooj! — krzyczały, aż pozdzierały sobie gardła. Ale odpowiedziało im tylko echo.

Chłopiec wybuchnął płaczem.

— Boję się, że już nigdy nie zobaczę wujka! — zachlipał. — Co ja powiem krewnym w domu?

Ale Dżip przywołał do siebie Doktora.

— On musi gdzieś tu być! Musi! Musi! Zapach dochodzi właśnie z tego miejsca. Mężczyzna na pewno tu jest. Podpłyn bliżej, żebym mógł wyskoczyć na skałę.

Doktor posłusznie podprowadził statek bliżej brzegu, żeby rzucić kotwicę. Potem on i Dżip razem zeskoczyli na kamienie.

Dżip natychmiast przycisnął nos do ziemi i zaczął biegać tam i z powrotem, to pod górę, to w dół, z jednego krańca wyspy na drugi. Kluczył, zataczał koła, zawracał, a Doktor deptał mu po piętach, choć ledwie mógł złapać oddech.

Nareszcie Dżip szczechnął głośno i usiadł. Kiedy podbiegł do niego Doktor, okazało się,

że pies patrzy w głąb wielkiej, głębokiej dziury, znajdującej się na samym środku skalistej wysepki.

— Wuj chłopca jest tam, w dole — powiedział cicho Dżip. — Nic dziwnego, że durne orły go nie wypatrzyły! Człowieka znajdzie tylko pies.

Tak więc Doktor wskoczył do dziury, która okazała się wejściem do długiego tunelu, prowadzącego głęboko pod ziemię. Zapalił zapałkę i ruszył naprzód w ciemności. Dżip szedł tuż za nim.

Zapałka niedługo zgasła, więc Doktor musiał zapalić kolejną, a potem jeszcze jedną.

Nareszcie tunel się skończył. Doktor zobaczył przed sobą małe pomieszczenie o kamiennych ścianach.

Na jego środku leżał mężczyzna z głową wspartą na ramieniu. Smacznie spał!

Dżip podszedł bliżej i obwąchał coś, co leżało na ziemi tuż obok niego. Doktor schylił się i podniósł ogromną tabakierkę... wypełnioną po brzegi czarną tabaką Rappee!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY. MIA- STECZKO RYBACKIE

Doktor bardzo ostrożnie obudził śpiącego.

Niestety, w tej samej chwili znowu zgasła jego zapalka. Znów zrobiło się zupełnie ciemno, a mężczyzna, pewien, że wrócił po niego Ben Ali, zaczął okładać Doktora pięściami.

Kiedy John Dolittle wyjaśnił wreszcie, kim jest i że ma na pokładzie bratanka mężczyzny, rozbitek bardzo się ucieszył i przeprosił za rękoczynny (nie zrobił zresztą Doktorowi krzywdy, bo w ciemności nie dało się zadawać celnych ciosów). Potem podał Doktorowi szczyptę tabaki i wyjaśnił, że został porzucony przez Smoka Berberii na tej wyspie, kiedy nie zgodził się dołączyć do jego pirackiej załogi. Noce spędzał pod ziemią, bo nigdzie wokół nie było chaty, w której mógłby się ogrzać. Na koniec powiedział:

— Nie jadłem i nie piłem nic od czterech dni. Żywiłem się tylko tabaką.

— No proszę! — zawołał Dżip. — A nie mówiłem?

Zapalili więc kolejne zapałki i wyszli korytarzem na słońce. Doktor szybko zaprowadził mężczyznę na statek i poczęstował go zupą.

Kiedy zwierzęta i chłopiec zobaczyli, że Doktor i Dżip wracają w towarzystwie rudowłosego, wznieśli gromki okrzyk i zaczęli tańczyć na pokładzie. Tysiące krążących nad nimi jaskółek zagwizdało ile sił w płucach, żeby pokazać, jak bardzo się cieszą, że dzielny wujek chłopca został odnaleziony. Hałas był taki, że żeglujący w okolicy marynarze przerazili się, że nadciąga straszliwy sztorm.

— Słuchajcie, jak ryczy wicher hen na wschodzie! — mówili jeden do drugiego.

Dżip chodził dumny jak paw, choć starał się przy tym nie zadzierać nosa. Kiedy Dab-Dab podeszła i powiedziała: „Nie miałam pojęcia, że jesteś taki mądry!”, rzucił tylko głową i odparł:

— Och, to nic takiego. Ale człowieka znaleźć umie tylko pies. Ptaki nie mają do tego głowy.

Potem Doktor zapytał rudego rybaka, gdzie znajduje się jego dom. Gdy poznał odpowiedź, polecił jaskółkom pociągnąć statek właśnie w tamtą stronę.

Kiedy dotarli do lądu, zobaczyli małe miasteczko rybackie, położone u podnóża skalistej góry. Mężczyzna wskazał im dom, w którym dawniej mieszkał.

Rzucili kotwicę, a matka chłopca (która była zarazem siostrą rudego), wybiegła na brzeg i popędziła w ich stronę, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. Od dwudziestu dni siedziała na wzgórzu i patrzyła w morze, czekając na powrót bliskich.

Obcałowała Doktora, aż się zaczerwienił i rozchichotał jak mała dziewczynka. Następnie próbowała pocałować Dzipa, ale pies uciekł i schował się na statku.

— Durny zwyczaj takie całowanie — stwierdził. — Ja się na to nie piszę. Niech pocałuje

prosiaczka Gub-Gub, jeśli już koniecznie kogoś musi.

Rybak i jego siostra nie chcieli, żeby Doktor zbyt szybko ich opuścił. Błagali, żeby spędził z nimi chociaż kilka dni. Więc John Dolittle i jego zwierzęta musieli zostać na całą sobotę i niedzielę, a do tego jeszcze pół poniedziałku.

W tym czasie wszyscy mieszkający w miasteczku chłopcy chodzili na plażę, wskazywali na stojący na kotwicy okręt i szeptali do siebie z przejęciem:

— Patrzcie! To był piracki statek Bena Alego, najstraszniejszego pirata Siedmiu Mórz! Starszy pan, który nosi na głowie cylinder i mieszka teraz u pani Trevelyan, odebrał statek Smokowi Berberii i kazał mu zostać rolnikiem! Kto by pomyślał! Taki łagodny człowiek! Spójrzcie tylko na czerwone żagle! Łajba wygląda złowieszczo... i jest szybka jak błyskawica! O rany!

Przez dwa i pół dnia, które Doktor spędził w miasteczku, jego mieszkańcy wciąż zapraszali go a to na herbatkę, a to na lunch, kolację

czy przyjęcie. Kobiety wysyłały mu czekoladki i kwiaty, a miejscowy zespół muzyczny co wieczór koncertował pod jego oknem.

W końcu Doktor oznajmił:

— Dobrzy ludzie, muszę wracać do domu. Wspaniale mnie potraktowaliście i nigdy tego nie zapomnę. Ale na mnie już naprawdę czas. Mam kilka ważnych spraw do załatwienia.

W dniu wyjazdu przyszedł do niego burmistrz w towarzystwie wielu wystrojonych urzędników. Przemaszerowali ulicą, po czym stanęli przed domem, w którym mieszkał Doktor. Wszyscy mieszkańcy miasteczka przyszli zobaczyć, co będzie dalej.

Sześciu paziów⁵¹ dmuchnęło w lśniące trąbki, żeby zebrani przestali gadać. Potem Doktor wyszedł na ganek, a burmistrz odezwał się do niego w te słowa:

— Doktorze Johnie Dollittle! Z ogromną radością przekazuję panu (który uwolniłeś morza od Smoka Berberii!) ten oto drobiazg,

⁵¹*paż* — chłopiec pełniący dawniej służbę przy określonej osobie na dworze (króla, cesarza, księcia itp.); tu: przy osobie burmistrza miasta. [przypis edytorski]

w dowód wdzięczności mieszkańców naszego dumnego miasteczka.

Burmistrz wyciągnął z kieszeni małe zawiątko, rozwinął papier i podał Doktorowi zjawiskowy zegarek wysadzany prawdziwymi diamentami.

Następnie wyciągnął z kieszeni większą paczuszkę i zapytał:

— A gdzie jest pies?

Wszyscy zaczęli szukać Dżipa. Ostatecznie znalazła go Dab-Dab. Był na drugim końcu miasteczka, w stajni, otoczony przez krąg okolicznych psiaków, które wpatrywały się w niego z milczącym uwielbieniem.

Kiedy doprowadzono go już do Doktora, burmistrz otworzył swój pakunek. W środku znajdowała się obroża z czystego złota! Mieszkańcy miasteczka zaszemrali z zachwytem, a burmistrz schylił się i własnoręcznie zapiął obrożę na szyi psa.

Wygrawerowano na niej słowa: „*DŻIP — Najmądrzejszy Pies Świata*”.

Potem tłum ruszył za Doktorem i jego zwierzętami na plażę, żeby odprowadzić ich na statek. Kiedy już rudy rybak, jego siostra i młody chłopiec wielokrotnie podziękowali Doktorowi i jego psu, prędki okręt o czerwonych żaglach znów skierował się w stronę Puddleby. Wy płynął na szerokie morze przy akompaniamencie⁵² miejscowej orkiestry, która urządziła na brzegu pożegnalny koncert.

OSTATNI ROZDZIAŁ. NARESZCIE W DOMU

Marcowe wichury rozszalały się i ucichły. Po kwietniowych ulewach zostało tylko wspomnienie. Majowe pąki zmieniły się w kwiaty, a po polach rozlało się czerwcowe słońce, gdy John Dolittle wrócił nareszcie do ojczyzny.

Nie skierował się od razu do swego domu w Puddleby. Najpierw objechał kraj wozem cygańskim, w którym trzymał dwugłowca, robiąc przy tym postoje na wszystkich wiej-

⁵²*akompaniament* — muzyka towarzysząca (np. śpiewowi solisty, pokazom artystycznym itp.). [przypis edytorski]

skich jarmarkach. Ustawiał się między namiotami akrobatów i marionetkarzy i wywieszał wielki szyld, który głosił: „*Chodź i zobacz wspaniałe dwugłowe zwierzę z afrykańskiej dżungli! Wstęp: sześć pensów*”.

Dwugłowiec zostawał w wozie, a pozostałe zwierzęta kładły się na ziemi. Doktor siedział na krześle przy drzwiach i pobierał po sześć pensów, uśmiechając się przy tym do wchodzących ludzi. Dab-Dab nieustannie go strofowała⁵³, bo kiedy tylko spuszczała go z oka, zaraz pozwalał dzieciakom wejść do środka zupełnie za darmo.

Właściciele zoo oraz cyrkowcy przychodzili prosić, żeby Doktor sprzedał im swoje niezwykle zwierzę. Oferowali mu astronomiczne sumy. Ale Doktor zawsze potrząsał głową i mówił:

— Nie. Dwugłowiec nigdy nie trafi do klatki. Pozostanie panem swojego losu, tak samo jak ty czy ja.

⁵³*strofować kogoś* — krytykować, napominać, pouczać kogoś. [przypis edytorski]

Podczas podróży wozem widzieli wiele niesamowitych rzeczy, ale nic nie robiło już na nich wrażenia po przygodach, które przeżyli w dalekich krajach. Choć początkowo życie w trasie zdawało się ciekawe, po kilku tygodniach wszyscy zaczęli się okropnie nudzić i poczuli przemożną chęć powrotu do domu.

Ich wóz odwiedzało tylu ludzi gotowych zapłacić sześć pensów za zobaczenie dwugłowca, że Doktor wkrótce mógł przestać odwiedzać jarmarki.

Pewnego dnia, gdy malwy zdążyły już zakwitnąć, przyjechał z powrotem do Puddleby, do małego domku z wielkim ogrodem, jako najprawdziwszy bogacz.

Stary, kulawy koń, który mieszkał w stajni, ucieszył się na jego widok. Tak samo jaskółki, które zdążyły już zbudować gniazda pod okapem dachu i opiekowały się pisklętami. Dab-Dab też się cieszyła, że znów jest na znajomym terenie, choć czekało ją mnóstwo odkurzania, bo wszędzie było pełno pajęczyn.

Kiedy Dżip pokazał już swoją złotą obrożę zarozumiałemu owczarkowi z sąsiedztwa, wrócił do ogrodu i zaczął biegać w kółko jak postrzelony: szukał dawno zakopanych kości i przeganiał szczury z szopy na narzędzia. Tymczasem Gub-Gub wykopał spod płotu korzeń chrzastu, którego łodyga rozrosła się i miała już prawie metr wysokości.

Doktor ruszył na spotkanie z marynarzem, od którego pożyczył łódź. W ramach zapłaty kupił mu dwa inne statki i jeszcze lalkę dla jego dziecka. Zapłacił też sklepikarzowi za prowiant potrzebny na wyprawę, który swego czasu dostał na kredyt. Następnie sprawił sobie nowe pianino i przeniósł do niego białe myszki, bo usłyszał od nich, że w sekretarzyku są okropne przeciągi.

Wypełnił pieniędzmi starą skarbonkę, która stała na komodzie, a i tak nie wszystko się zmieściło. Musiał kupić jeszcze trzy kolejne pojemniki takich samych rozmiarów.

— Pieniądze to prawdziwe utrapienie! — powiedział. — Ale jednak miło jest nie musieć się martwić o jutro.

— Tak — przyznała Dab-Dab, która właśnie opiekowała mu bułeczki na podwieczorek. — Szczera prawda!

A potem znowu nadeszła zima i śnieg przesłonił kuchenne okno. Po kolacji Doktor siedział ze zwierzętami wokół pieca, żeby się ogrzać i czytać im na głos fragmenty swoich książek.

A tymczasem w odległej Afryce małpy, które układały się powoli do snu pod wielkim, żółtym księżycem, gawędziły w koronach drzew palmowych.

— Ciekawe, jak radzi sobie nasz dobrodziej w Krainie Białych Ludzi! — mówiły jedna do drugiej. — Uważacie, że jeszcze kiedyś do nas wróci?

A Polinezja skrzeczała do nich z gąszczu winorośli:

— Tak myślę... Tak mi się wydaje... No, taką mam nadzieję!

Potem zaś odzywał się burkliwie krokodyl,
do połowy zanurzony w mule.

— Na pewno wróci! A teraz idźcie spać!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/hugh-lofting-doktor-dolittle-i-jego-zwierzeta/>

Tekst opracowany na podstawie: Hugh Lofting, Doktor Dolittle i jego zwierzęta, tłum. Jarek Westermarck, wyd. I, Fundacja Nowoczesna Polska 2021.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła.

Okładka na podstawie: Kakadu palmowa, przypisywane Robertowi Jacobowi Gordonowi (1743-1795), domena publiczna

ISBN 978-83-288-6283-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

HUGH LOFTING *Doktor Dolittle i jego zwierzęta*
Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.